WTOREK Nr 103 26 X 1982 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NASI ZA GRANICĄ

W Muzeum Belgradu przy współudziale Muzeum Historycznego Warszawy otwarto wystawę fotografii Sylwestra Krisa Brauna, poświęconą powstaniu warszawskiemu. Wystawiono kilkadziesiąt prac tego autora, który stworzył swoistą foto-kronikę bohaterskiego zrywu Warszawy. Impreza cieszy się dużym zainteresowaniem mieszkańców stolicy Jugosławii, zwłaszcza młodzieży.

•

Wraz z początkiem sezonu artystycznego, nastąpiło ożywienie w dziedzinie wyjazdów naszych teatrów i realizatorów na zagraniczne występy lub w celu współpracy z placówkami kulturalnymi w innych krajach. Kilka zespołów zostało zaproszonych na wrześniowe festiwale teatralne. Na festiwal sztuk eksperymentalnych w Santarcongelo we Włoszech udały się warszawska „Akademia Ruchu" oraz Teatr Ósmego Dnia z Poznania. W Berliner Festwochen w Berlinie Zach. wezmą udział Teatr Dramatyczny z Warszawy oraz Scena Plastyczna Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Ponadto krakowski Teatr Stary wystąpi w Rzymie, a Współczesny z Wrocławia odbywa tournée po RFN. Krzysztof Kolberger oraz pianista Cezary Owerkowicz prezentują w Szwajcarii spektakl poetycki oparty na utworach Czesława Miłosza.

Jerzy Grotowski i grupa aktorów wrocławskiego Teatru-Laboratorium poszukują źródeł inspiracji w tak odległych rejonach świata, jak Haiti, Indonezja, USA. Reżyserzy Marek Piwowski i Witold Leszczyński prowadzą wykłady na wydziale filmowym Akademii Sztuk Pięknych w Bagdadzie. Maciej Karpiński reżyseruje „Sprawę Dantona" Stanisławy Przybyszewskiej w Trieście, choreograf Barbara Kasprowicz objęła klasę tańca w Instytucie Teatralnym w Barcelonie.

•

Polsko-Australijskie Towarzystwo Kulturalne zorganizowało w Sydney wystawę pn. „Kraków – światowe dziedzictwo kultury". Otwarcia dokonał burmistrz Sydney, Douglas W. Sutherland, w obecności licznie zgromadzonych przedstawicieli społeczeństwa australijskiego i miejscowej Polonii. (tem)

Pod urokiem zaświatów

W drugiej połowie ubiegłego stulecia grasowało po Europie wielu wydrwigroszy, czerpiących zyski z uczestnictwa w seansach, w czasie których wywoływano duchy. Ówczesne gazety i specjalne wydawnictwa pełne są drobiazgowych opisów wizyt, jakie – wieczorami i obowiązkowo przy przyćmionym świetle – zmarli składall żywym. Czegóż to ci, niekiedy bardzo szacowni goście z zaświatów, o znanych w historii nazwiskach, nie wyprawiali wówczas w mieszczańskich salonikach! Stukali piszczelami po kątach, kręcili stolikami, podrzucali je do góry, uruchamiali jakieś coraz to bardziej przemyślne urządzenia do mechanicznego pisania, dmuchali na uczestników seansów, całowali ich, pokazywali im się we fragmentach. I najważniejsze: odpowiadali na setki tysięcy, nawet najbardziej bezsensownych, pytań. Zaprosić sobie – zupełnie serio – na wieczór: Napoleona, archanioła Gabriela, któregoś z rzymskich cezarów lub własnych praprzodków – było wtedy łatwiej, niż dziś zamówić telefonicznie taksówkę.

CIĄG DALSZY NA STR. 3

Seans u pana radcy ▶

Rys. **M. Kościelniak**

W MIEŚCIE WARTBURGÓW

Czytaj na str. 5 i 7

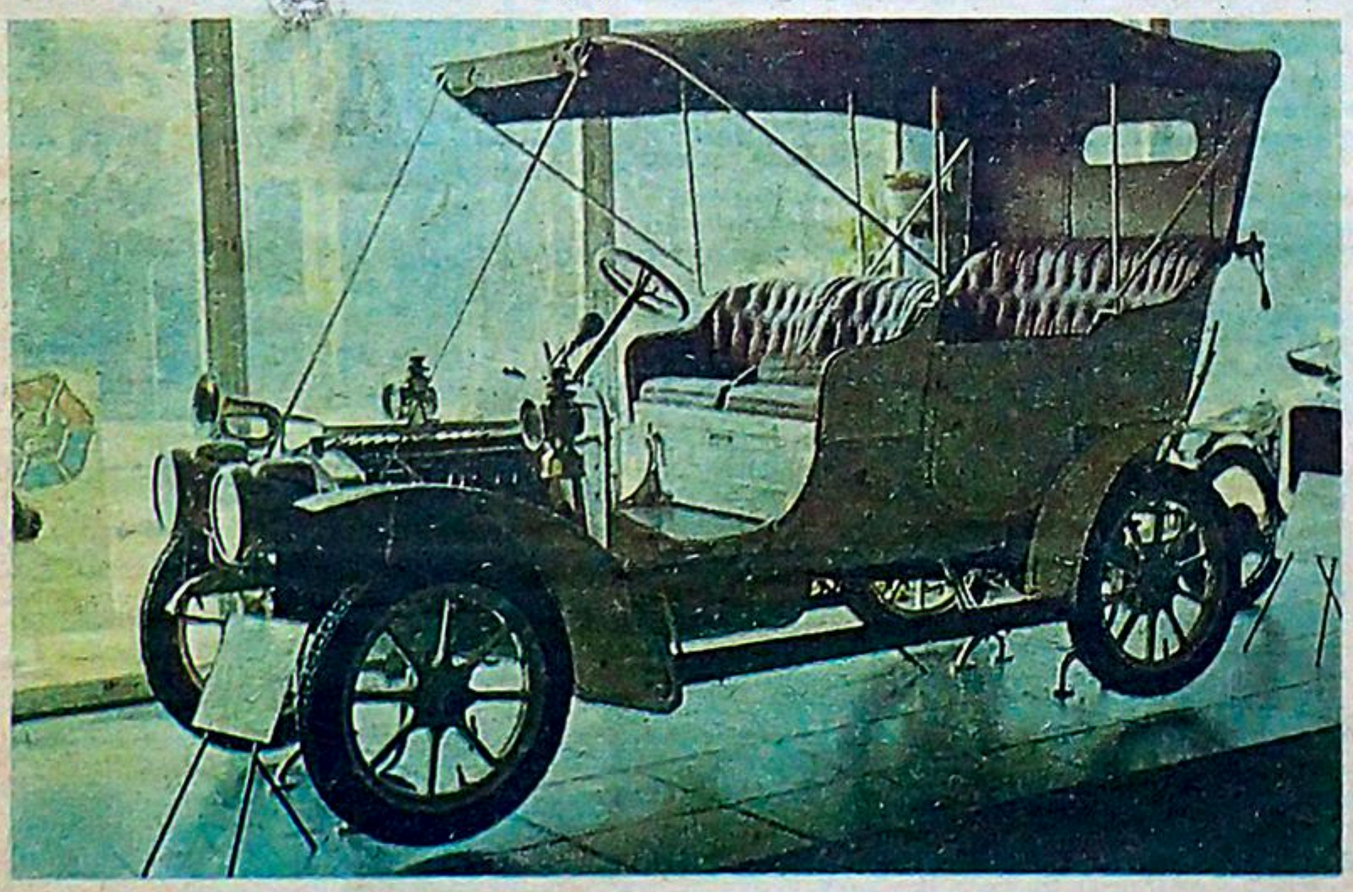

Ten model to wartburg z 1900 roku, pierwszy z kierownicą

ACH TEN CHOCHLIK!

Okazuje się, że nie tylko „Świat Młodych" gościł w Wojskowej Akademii Technicznej. Towarzyszył nam również Chochlik, aby później, już w drukarni, zamienić w 98 numerze gazety słowo „małą" w „samą", co zmieniło sens materiału. Zdanie, w którym jest mowa o laserach, wypowiadane przez płk. prof. dr. inż. Kazimierza Dzięciołowskiego powinno brzmieć: **„Te moce czy inaczej wiązki laserowe, których używamy do wyznaczania tras, mają taką małą moc, że nie są szkodliwe jeśli się nawet stanie naprzeciw źródła promieniowania."**

Pana Profesora oraz Czytelników przepraszamy.

ŚLADAMI ŚRODKOWO-POLSKIEJ SOLI

Sól, bez używania której nie wyobrażamy sobie wielu rodzajów potraw, jest jednym z najwcześniej poznanych bogactw ziemi Polski środkowej. W pasie jej występowania na tym terenie, biegnącym na zachód i północny zachód od Ozorkowa przez Łęczycę w kierunku Kłodawy, obecność tego minerału do dziś zdradzają słone źródła, znane w okolicy Solcy Wielkiej i Małej, Pełczysk, Rogoźna i innych miejscowości leżących w pobliżu górnej Bzury lub nad nią. Źródła te, jakkolwiek obecnie na ogół dość znacznie wysłodzone, powodują zasolenie gleby.

Już pierwsi mieszkańcy obszarów położonych wokół Łęczycy – obok rolnictwa i hodowli zwierząt – zajmowali się spożytkowaniem słonych źródeł. Przy miejscach wypływu solanek powstawały warzelnie soli, które dostarczały wysoko cenionego i poszukiwanego od zamierzchłych czasów produktu. Wiemy między innymi, że w XIII stuleciu sól warzono w Topoli Królewskiej – wsi położonej w odległości 2 km na północ od Łęczycy. W przeszłości warzeniem soli zajmowano się także w oddalonej od Łęczycy o 4 km Solcy Wielkiej i Pełczyskach. Tutaj właśnie w latach 1780–1795 kasztelan łukowski Jacek Jezierski prowadził warzelnię soli na większą skalę.

rozbioru Polski (1772), przypadły Austrii, a sól

Sól z okolic Łęczycy, eksploatowana przez wspomnianego kasztelana, była wówczas na rynku krajowym tańsza od soli wydobywanej w Wieliczce i Bochni, jako że kopalnie soli znajdujące się w tych miejscowościach, w wyniku pierwszego

z nich przywożoną obciążano cłem. O soli podłęczyckiej mówiono na posiedzeniach ówczesnego sejmu. Z czasem jednak na terenie Łęczyckiego zaprzestano warzenia soli, na skutek nieopłacalności tego przedsięwzięcia, w związku z wysłodzeniem się tutejszych źródeł solankowych.

Dziś prowadzi się eksploatację soli kuchennej i potasowej w okolicach Kłodawy, gdzie bogactwo to znajduje się najbliżej powierzchni. Natomiast w okolicach Łęczycy chociaż obecnie nie warzy się soli (większe jej pokłady zalegają tu głęboko), to jednak ślady występowania tego minerału nadal są odczuwalne i widoczne. Czasem w studniach wykopanych na terenie podłęczyckim pojawia się słona woda, czasem na tutejszych torfowiskach zauważamy lekki nalot soli. W roku 1967 słona woda wtargnęła do łęczyckiej kopalni żelaza, gdzie zalała najniższy pokład.

Na obszarach Łęczyckiego spotykamy halofity – unikalne rośliny sololubne. We wspomnianej już wcześniej wsi Pełczyska, wokół bijącego słonego źródła o zawartości około 2,5 promille chlorków, rosną między innymi trzy bardzo rzadkie w Polsce rośliny: jarnik solankowy, ostrzew rudy i zamętnica trzeneczkowata. W roku 1977 w pobliżu Łęczycy utworzono rezerwat torfowiskowy z roślinnością słonolubną.

Obok wyżej wymienionych śladów występowania soli na ziemiach środkowopolskich – zarówno tych w formie zapisów historycznych, jak i tych dziś jeszcze wyraźnie dających się stwierdzić w terenie – możemy wymienić też pozorny ślad, wskazujący na związek jednej z podłódzkich miejscowości z tym cennym minerałem. Mamy tu na myśli Nowosolną. Nazwy tej wsi nie należy bezpośrednio wiązać z występowaniem i eksploatacją na tym terenie soli. Nowosolna, założona wśród głębokich borów w końcu XVIII wieku (po drugim rozbiorze Polski) przez osadników przybyłych z terenów zachodnich, nazwę swą wzięła najprawdopodobniej od nazwy miejscowości, z której osadnicy pochodzili.

Jako ciekawostkę można podać fakt pojawienia się stosunkowo niedawno rewelacyjnej wzmianki, zamieszczonej w części opisowej dwóch kolejnych wydań mapy województwa łódzkiego (Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych, Warszawa 1965 i 1967 r.), a mówiącej o tym, że w okolicach Galkówka koło Łodzi znajduje się „najmłodsza w Polsce kopalnia soli". Oczywiście wiadomość ta nie ma pokrycia w rzeczywistości i nie wiadomo skąd została zaczerpnięta. Zresztą sam wydawca wspomnianej publikacji w następnych jej wydaniach wycofał tę błędną informację.

HENRYK SZUBERT

REPORTER Świata Młodych

RODZINA I JA

GDYBY POŚWIĘCILI MI WIĘCEJ CZASU...

Oboje moi rodzice pochodzą ze wsi położonej w woj. radomskim. Wykształcenie mają zaledwie podstawowe. Mama nawet chciała się uczyć, ale nie było na to środków finansowych. Obecnie nigdzie nie pracuje. Ojciec jest pracownikiem fizycznym na kolei. Rodzice moich rodziców już nie żyją. Kiedyś mieszkaliśmy na wsi. Kilkanaście lat temu przeprowadziliśmy się do małego miasteczka. Mamy własny domek i niewielką działkę. W domu większy autorytet ma matka, przynajmniej dla mnie. Ojciec bierze bardzo mały udział w życiu rodziny (tylko tyle, że zarabia na życie i pomaga na działce).

Rodzice troszczą się tylko o to, żebyśmy (mam jeszcze rodzeństwo) mieli co jeść i w co się ubrać. Reszta ich nie obchodzi. Ze swoimi problemami zwracam się do matki, która i tak mówi, że nie ma czasu. Staję się coraz bardziej zamknięta w sobie i czuję, że brak mi przyjaciela. Nie miałabym odwagi zwrócić się do matki w sprawach „sercowych" i to mnie właśnie boli. W domu prawie o wszystkim decyduje matka. Jedno wiem, że gdyby nie ona – w naszej rodzinie spokoju by nie było.

U nas panuje do tej pory tradycyjny podział obowiązków. To należy do mężczyzny, a to do kobiety. Tato zajmuje się naszym mini-gospodarstwem, mama gotuje, sprząta, pierze i przeważnie robi zakupy, a ja sprzątam oraz żeby mi się nie nudziło, od czasu do czasu powierzają mi dodatkowe prace. Jednak solidarnie wszyscy razem pracujemy na działce. Taki podział obowiązków jest korzystny chyba tylko dla mnie, gdyż rodzice zostawiają mi sporo wolnego czasu na naukę. Rodzice każdą wolną chwilę spędzają na działce. Gdy ojciec ma urlop – idą pracować prywatnie zostawiając cały dom na mojej głowie. Rodzice nie pracują tylko w niedzielę. Rano przeważnie idą do kościoła a potem do znajomych albo siedzą przed telewizorem. Nie zbieramy pieniędzy na samochód, tak jak to robią inni. Wystarczy nam to co mamy, a w podróż można się przecież wybrać pociągiem. Bardzo rzadko wyjeżdżam z rodzicami. Częściej z harcerzami. Zapomniałam napisać, że od dawna należę do ZHP. A w wakacje, które spędziłam na obozie harcerskim, złożyłam zobowiązanie instruktorskie. Od dwóch lat prowadzę drużynę harcerską, co pochłania mi sporo czasu, którego i tak mam niewiele. Ale bardzo lubię przebywać w harcówce z moją drużyną. Niektórzy śmieją się ze mnie i z mojego harcerstwa, ale mnie niewiele to obchodzi. Ja wiem swoje, że być harcerzem, to wielki obowiązek, ale i wielka frajda.

Wiele rzeczy jest w mojej rodzinie, które mnie denerwują i które chciałabym zmienić, ale, niestety, nie jestem w stanie. Np. ten tradycyjny podział obowiązków; to należy do mężczyzny, a tamto do kobiety. Jest przecież równouprawnienie, a mężczyzna powinien pomagać kobiecie w obowiązkach domowych! Pewnego dnia mama stwierdziła, że nie palę się do gotowania i powiedziała: „Nie wiem jak ty sobie dasz radę w życiu". Wtedy ja odpowiedziałam żartem: „Wezmę sobie męża, który będzie umiał gotować". Mama jednak nakrzyczała na mnie, że niby co to za mężczyzna, który da się wykorzystywać kobiecie. Nic się nie odezwałam, ale w duchu sobie myślałam inaczej.

Moi rodzice prawie nigdzie nie wychodzą. Nie pamiętam, kiedy byli w kinie czy w teatrze. A na spacer to chodzili chyba tylko wtedy, gdy byli młodzi. Gazet też u nich w ręku nie widzę, jedynie oglądają dziennik TV. Bardzo żałuję, że nie znajduję w mojej mamie prawdziwego przyjaciela. Kilka razy próbowałam z nią porozmawiać o swoich problemach, ale ona akurat w tym czasie musiała rozmawiać z ojcem, z którym też nie mogę znaleźć wspólnego języka.

Czasami tak sobie marzę, że gdy założę własną rodzinę i będę miała dzieci, to chciałabym, żeby one miały do mnie zaufanie i uważały mnie za przyjaciela, a nie za opiekuna. Będę z nimi chodziła na spacery, do kina i kupowała im książki. Słowem będę im chciała dać to, czego ja nie miałam w dzieciństwie. Rodzice jednak skarżą się na mnie, że nie chcę im pomagać, że czasami źle się zachowuję itd. Zawsze mają do mnie jakieś pretensje. Myślę, że nie jest to moja wina, ale właśnie ich, którzy nigdy nie mogli znaleźć dla mnie czasu. Zawsze mówili, że są bardzo zapracowani. Matka wymawia mi to, że jestem zamknięta w sobie, a przecież ona nigdy nie skłoniła mnie do zwierzeń. Moje plany i marzenia o własnej rodzinie są dalekie od tego szablonu rodziny, w której jestem. Zdaję sobie sprawę z tego, że to tylko marzenia, jak będzie naprawdę, pokaże życie, które (jak powiedział Heraklit z Efezu) szybko płynie i niepodobna dwukrotnie wstąpić do tej samej rzeki.

Marika

NIE PODOBA MI SIĘ PRAWIE WSZYSTKO!

Rodzice moi pochodzą z różnych stron, mama pochodzi z ZSRR, a ojciec z Polski południowo-wschodniej. Ojciec ukończył szkołę średnią i wstąpił w organa MO, zaś mama uczęszczała już w Polsce do liceum ogólnokształcącego, którego nie ukończyła, później zaś chodziła do liceum łączności, którego również nie ukończyła, zostawiając te szkoły tylko z powodu ojca. Mama moja pracuje jako dozorczyni, do czego ją zmusiły warunki rodzinne; ojciec jest na emeryturze.

Większym zaufaniem obdarzam mamę, ponieważ z nią żyję, ona mnie wychowuje itd., zaś gdy chodzi o autorytet, to nie ma go u mnie ani mama, ani ojciec, ani również mój ojczym (bo ojciec z matką rozszedł się).

Przechodzę do obowiązków domowych: właściwie podziału nie ma. Ja np. muszę sam prać, sprzątać, mama gotuje, czasami ojczym i życie leci. Jeżeli chodzi o wolny czas, to jest to bardzo dziwne, lecz w gronie rodzinnym nie spędza się go, każdy organizuje sobie czas indywidualnie. Ja potrzeb mam dużo, ale żeby rodzina dążyła do zrealizowania jakichś celów, to nie zauważyłem przez 18 lat, bo tyle żyję.

Nie podoba mi się prawie wszystko, lecz najbardziej, to częste spożywanie alkoholu, częste (oczywiście po jego spożyciu) kłótnie, awantury, bójki rodzinne, brak odpowiedniego wychowania młodszego rodzeństwa, brak okazania im serca, dobrego przykładu ze strony rodziców. W przyszłości nie dopuszczę lub przynajmniej zrobię wszystko, żeby moje dzieci nie przeszły tyle złego, co ja, a moja żona nie przeżyła i nie doznała takiego życia jak moja mama, którą mimo wszystko cenię najbardziej. Będąc młodszy nie rozumiałem błędów rodziców i starałem się robić to, co oni, brałem po prostu z nich przykład. Na szczęście, dzięki Bogu, Jemu zawdzięczam wszystko, z Jego pomocą wszedłem na dobry tor, z którego nie chciałbym zejść nigdy w życiu.

Paliłem papierosy, piłem alkohol, niszczyłem się moralnie, bo co innego można robić tak postępując? Teraz, mając 18 lat nie palę, nie piję. W ogóle jestem całkowitym abstynentem, ponieważ przeżyłem już bardzo dużo i wiem, co znaczy spożywanie alkoholu nie tylko dla mnie samego, ale przede wszystkim dla moich przyszłych dzieci i żony. I dlatego też w przyszłości pragnę nie popełniać takich błędów, jakie popełniali i popełniają moi rodzice, a obecnie moja matka i ojczym.

Moim najskrytszym marzeniem jest znalezienie dziewczyny o takich jak ja poglądach, abyśmy razem spędzili życie. Żeby było wzorem dla wszystkich, a dzieci mogły brać z nas przykład, nie musiały się wstydzić postępowania rodziny, lecz przeciwnie, miały zaszczyt żyć w niej.

„Ciunek"

LUBIMY WSPÓLNIE SPĘDZANE CHWILE

Mój tato i mama pracują na Politechnice Śląskiej w Gliwicach; uczą studentów. Bardzo często po południu pracują w domu, mama w ogrodzie i w domu, tata raczej tylko w domu. Większe zaufanie mam do mamy, bo znajdzie na wszystko radę. Często rozmawiam z rodzicami na różne ciekawe tematy. Gdy przychodzę ze szkoły, czeka na mnie babcia (matka mojej mamy), mieszkająca w Bytomiu. Babcia gotuje dla mnie (czasem dla mamy i taty) obiad. Przyjeżdża codziennie oprócz sobót i niedziel. Uważam, że jest to z jej strony wielkie poświęcenie. Babcia jest u nas do godz. 16 lub 17 i wraca pociągiem do domu. Mama i babcia gotują posiłki (babcia tylko obiad), a ja często chodzę po zakupy i pomagam mamie. Tata czasem sprząta i ścina trawę. Wolny czas spędzamy zazwyczaj razem, tylko czasem idę do koleżanki. Często chodzimy, a raczej jeździmy rowerami na wycieczkę. Ja słucham radia, zwłaszcza mojego ulubionego pr. III, oraz magnetofonu i czytam książki i gazety. Tata czyta i rozmawia ze mną lub mamą, a mama czyta, szyje i przegląda różne czasopisma. Bardzo lubimy te wspólnie spędzane chwile. Gdy jeździmy na wycieczkę, często gdzieś na polanie gotujemy sobie jedzenie.

„Sally"

Spotkania

WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Za kilka dni widok za moim oknem zmieni się na przeciąg paru listopadowych już godzin. Do jesiennych kolorów liści dojdzie widoczna za cmentarnym murem łuna. Dziesiątki, setki migoczących światełek będą płonąć pamięcią o tych, którzy odeszli. Kiedyś na ich cześć obchodzono Dziady, uroczystość sięgającą swymi korzeniami jeszcze pogańskich czasów, podczas której wywoływano dusze zmarłych, częstując je jadłem i napitkiem. Jeszcze kilkanaście lat temu, kiedy byłem akurat w listopadzie nad Morzem Czarnym, zauważyłem w małej cerkiewce oprócz płonących świeczek złożone obok pożywienie. Dziś w Dzień Wszystkich Świętych i w Dzień Zaduszny wystarczają już kwiaty i znicze. I chwila modlitwy albo zadumy, podczas której znowu jesteśmy razem.

Wszyscy Święci... Ilu ich jest? Nie wiem, czy ktoś potrafiłby dokładnie odpowiedzieć na to pytanie. W pierwszym tysiącleciu chrześcijaństwa do uznania za świętego wystarczał kult współwyznawców; dopiero od końca XII wieku potrzebne były decyzje papieskie. Święci, niegdyś bardzo popularni, ulegali stopniowemu zapomnieniu, ustępując miejsca nowo kanonizowanym. Kiedyś każdy zawód miał swego świętego patrona. Patronem cieśli był św. Józef, szewców św. Kryspin, muzyków św. Cecylia, flisaków i górników św. Barbara, pasterzy św. Mikołaj i św. Wandalin, rolników św. Izydor, lekarzy i aptekarzy św. Kosma i św. Damian, prawników św. Iwona, rycerzy św. Jerzy, a studentów św. Grzegorz.

Byli też święci, na pomoc których liczono w różnych szczególnych przypadkach: od chorób zakaźnych bronili św. Roch i św. Sebastian, od padaczki św. Walenty, od bólu gardła św. Błażej, od bólów zęba św. Apolonia. W chorobach oczu pomagała św. Otylia, wrzody leczył św. Roch, od ognia strzegł św. Florian, a od złodziei św. Antoni, który pomagał także w odnalezieniu zguby. Nie wiem, jak inni święci, ale ten ostatni przydawał mi się wielokrotnie.

Mają i Polacy swoich świętych. Jako patron polskiego Kościoła czczony jest św. Wojciech, biskup praski, organizator misji w Prusach, gdzie zginął w 997 roku. Późniejsza tradycja przypisywała mu autorstwo „Bogurodzicy", która miała powstać w czasie jego prac misyjnych w Polsce. W XIII wieku kanonizowano dwoje polskich świętych: św. Jadwigę, matkę Kazimierza Wielkiego, która po śmierci swego męża, Władysława Łokietka, wstąpiła do klasztoru klarysek; oraz św. Stanisława biskupa krakowskiego, który – jak opisał to Wincenty Kadłubek, sam zresztą błogosławiony – za piętnowanie występnego życia i okrutnych rządów Bolesława Śmiałego został zamordowany przez królewskich siepaczy na stopniach ołtarza w kościele na Skałce. Kolejni kanonizowani Polacy to: św. Kazimierz, syn Kazimierza Jagiellończyka, wychowanek Długosza, obwołany królem Węgier i zmuszony do wycofania się stamtąd bez uzyskania korony, który pod koniec swego krótkiego życia poświęcił się dobroczynności; oraz św. Stanisław Kostka, syn kasztelana zakroczymskiego, który zmarł mając osiemnaście lat w nowicjacie zakonu jezuitów w Rzymie. W 1867 roku do godności świętego wyniesiony został Józef Kuncewicz, bazylianin, zamordowany na początku XVII wieku na skutek sporów religijnych w Witebsku, pierwszy święty obrządku wschodniego w kościele katolickim. I wreszcie ostatni z tej listy, kanonizowany na rok przed wybuchem II wojny światowej, św. Andrzej Bobola, żyjący w XVII wieku jezuita – kapłan i kaznodzieja.

Nie, oczywiście, że nie jest on ostatni. W tym miesiącu papież Jan Paweł II dokonał kanonizacji kolejnego Polaka, Ojca Maksymiliana Kolbe, którego życie i śmierć w głodowym bunkrze Oświęcimia, są znane zapewne dużo lepiej niż jego uznanych za świętych polskich poprzedników.

Święci to religijny wzór osobowy, przykład realizacji norm obowiązujących w danej religii, które w przypadku chrześcijaństwa dadzą się tak łatwo sprowadzić do streszczającej wszystko miłości Boga i bliźniego. Święci, dla mnie tym bardziej święci, im bardziej cenne dla innych było ich życie, a nie tylko śmierć.

Nie musimy wierzyć w ich świętość, możemy wielu z nich naśladować, bo w ich życiu bez trudu znajdziemy wartości uniwersalne, pasujące i do współczesnych nam czasów, powinniśmy ich znać, bo są cząstką wielowiekowych tradycji i ogólnoludzkiej kultury. Otaczają nas wszędzie, nie tylko na ołtarzach: Przełęcz Świętego Bernarda, Góry Świętego Eliasza, Tunel Świętego Gotharda, Kanał Świętego Jerzego, Wyspa Świętej Heleny, Rzeka Świętego Wawrzyńca, Góra Świętej Anny. Otaczają nas wszędzie. I może nie tylko tak... za kilka dni przecież Wszystkich Świętych.

Jarek

REDAKCYJNA POCZTA

Bardzo źle się dzieje w VIIIa

Uczymy się w ósmej klasie. Przez siedem lat potrafiliśmy być zgrani i koleżeńscy. Dopiero teraz stworzyły się dwa obozy. W pierwszym obozie jest 8 dziewcząt i 4 chłopaków. Dziewczęta te podburzają chłopców, a ci w okropny sposób utrudniają nam życie. Uważają się za dorosłych, a nas traktują z góry. Zachowują się wręcz wyzywająco, ubierają się ekstrawagancko i używają ordynarnych określeń. Wiemy, że zażywają narkotyki, bądź przebywają z narkomanami. Te dziewczyny mają 17–18-letnich „narzeczonych", wyśmiewają się z naszych sympatii-rówieśników. Ostatnio zdarzały się przypadki pobicia naszych chłopców przez ich bandę. Grożą, że będą bić dziewczyny. Jak widzicie, sytuacja staje się wręcz niebezpieczna. Jeżeli ktoś powie coś na ich temat, a im to się nie podoba, to dostaje ostrzeżenie: „masz w ryj" i jest to egzekwowane. Na dodatek dziewczyny chełpią się przeżyciami ze swoimi kumplami, wystają w bramie z chłopakami o dziesiątej wieczorem.

Na lekcjach ciągle się kłócimy, nauczyciele się niepokoją, a nasza strona ma dość wulgarnych zaczepek, prostactwa. W szkole i okolicy utarło się powiedzenie: „w 8 „a" nie ma porządnych, przyzwoitych uczennic". A przecież my nie jesteśmy takie. Bardzo chcemy, aby zmieniła się ta okropna sytuacja, ale ani rodzice, ani wychowawczyni nie potrafią rozwiązać naszego problemu. Poradźcie nam, bo trudno jest żyć i uczyć się w takiej klasie. Prosimy o wydrukowanie naszego listu. Może po przeczytaniu nasi „dorośli" zmienią się, i może ktoś podsunie propozycję rozwiązania tej sprawy.

„SMARKACZE" z VIIIa w Poznaniu

Ma inną

Część wakacji spędziłam na obozie harcerskim. Poznałam miłego kolegę. Grzegorz (tak miał na imię) spodobał mi się i ja jemu zresztą też. Chodziliśmy z sobą gdzie tylko mogliśmy i w ogólnym tego słowa znaczeniu. Najczęściej spotykaliśmy się raz dziennie, a jeśli się udawało, to i dwa razy; przeszkodą było to, że nasze podobozy zostały dość daleko od siebie rozbite. Widywaliśmy się też na apelach. Grzegorz odnosił się do mnie serdecznie. Mieliśmy dość dużo wspólnych tematów do rozmów (a może teraz tak tylko mi się wydaje). Po powrocie do Łodzi więcej nie spotkaliśmy się. Czekałam. Myślałam, że przyjedzie. Nie przyjechał. I na tym mogłoby się skończyć. Ale coś mnie podkusiło, aby napisać do niego. Wysłałam kartkę z pozdrowieniami i z prośbą o odpis dlaczego się nie zjawił. Odpowiedź nadeszła po trzech tygodniach. Była dla mnie bardzo bolesna. Ma inną!

Załamałam się, ale na krótko. Stwierdziłam, że może lepiej, iż dowiedziałam się od niego samego, że ma inną. Postanowiłam zapomnieć o tym chłopaku. Nie bardzo mi się to udaje, gdyż nadal myślę o nim z sympatią. I kto wie – może gdyby mi zaproponował spotkanie, poszłabym na nie? Nie wiem. Może jestem zbyt łatwowierna? Kto wie? Sama nie jestem tego taka pewna.

Krystyna

P.S. Drogie dziewczęta i chłopcy! Proszę Was o ocenę mojego postępowania. Napiszcie, co sądzicie o tej sprawie.

O DUCHACH, OSZUSTACH I LUDZKIEJ NAIWNOŚCI (1)

Pod urokiem zaświatów

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Wiara w absolutną realność tych kontaktów należała do dobrego tonu. Nie wypadało wręcz nie zorganizować co jakiś czas takiego seansu łączności, najlepiej z udziałem któregoś ze znanych mediów.

Niepowodzenia w nawiązaniu dialogu z zaświatami tłumaczono sobie najczęściej złym, tego dnia, *„usposobieniem"* medium lub obecnością na seansie osoby *„negatywnie wpływającej"* na atmosferę. Ale że konkurencja była dość duża, większość eksperymentów przebiegała tak, aby ich uczestnicy byli zadowoleni. Chyba, że sprostanie zbyt wygórowanym zachciankom kogoś z obecnych przerastało możliwości pośrednika między tym a tamtym światem. Wtedy dochodziło do tragikomicznych sytuacji...

„DUCHU HORACEGO – WZYWAM CIĘ"

Oto co wydarzyło się na jednym z seansów zorganizowanych przez znanego filologa Nisarda. Uczony ten, będący wielkim wielbicielem Horacego, zapragnął – za pośrednictwem medium, którym był młody komediopisarz Wiktoryn Sardou – namówić zmarłego przed ośmioma wiekami poetę, by napisał jeszcze jedną odę! I Horacy posłusznie wystukał wszystko czego od niego żądano. Tyle że tytan rzymskiej poezji dostarczył spoza grobu wiersza wyjątkowo podłej jakości, a błędów gramatycznych było w nim tyle, ile w wypracowaniu niezbyt rozgarniętego gimnazjalisty...

Na takie „drobiazgi", zauważane nieśmiało przez niedowiarków, zwracali jednak uwagę nieliczni. Ich wątpliwości ginęły pośród ogólnych zachwytów nad odkrytą nagle możliwością rozmowy, z tymi, co bezpowrotnie odeszli. *„Widocznie świat zaziemski trzyma się innej pisowni"* – dowodzono w gazetach. Taka już bowiem ułomna natura nasza. Gdy człowiek zachwyci się czymś, uwierzy i uzna to za swoje – staje się obojętny na najbardziej nawet trzeźwe argumenty. Każda próba sprowadzenia na twardy grunt bujającego w obłokach, utwierdza go tylko coraz bardziej w jego przekonaniach. I buja coraz wyżej, będąc święcie przekonanym, że stąpa twardo po ziemi. Nie ma się więc co dziwić, że nieuchronny wreszcie upadek z takiej wysokości bywa nieraz bardzo bolesny...

DUCHY DOCIERAJĄ NAD WISŁĘ

Fala zainteresowania tymi zagranicznymi fenomenami dotarła do naszego kraju już w 1853 roku. Napotkała tutaj, trzeba przyznać, sprzyjające warunki. Wszak nie gdzie indziej jak tu, nad Wisłą, mistrz Twardowski przywoływał jeszcze nie tak dawno na polecenie króla Zygmunta zjawę jego ukochanej Barbary. To tutaj działał słynny Pinetti, a pod tajemniczym pseudonimem hr. Cagliostro występował Józef Balsamo. W tym kraju, w każdej przydrożnej dziuplastej wierzbie siedział wszak jakiś kulawy diabeł, a po moczarach hasały co noc dziwożony, wije i topielice! Na takim podkładzie, nowa, i – jak głosili jej wyznawcy – niezawodna metoda nawiązywania znajomości pozagrobowych przyjęła się łatwo.

Trochę tylko na początku dziwowano się, że została ona wynaleziona w Ameryce, tym kraju telegrafu, banków i oszałamiających karier, a więc w okolicach, gdzie ceni się raczej uroki życia doczesnego niż chłód grobowca...

Rychło jednak i na to znalazło się doskonałe wytłumaczenie: *„Pan Bóg dlatego dopuścił tę próbę najpierw na amerykański naród, aby go oderwać od czci złotego cielca, w którym duszę topi"*.

Seansowano więc już bez uprzedzeń, jak kraj długi i szeroki, a zaczęto od Krakowa. Na pierwsze spotkanie z zaświatami przybyło kilku poważnych uczonych oraz kilka szanowanych w mieście dam. I z miejsca uzyskano powodzenie! Krakowski „Czas" donosił potem, piórem jednego z uczestników: *„...po dziesięciu minutach uczuliśmy najpierw lekki wiatr, idący od palców do łokcia w ręce lewej, potem drżenie w rękach... o godzinie 6,45 stół zaczął, dość nagle, formalny obrót od zachodu ku północy..."*

Zaraz też, jak grzyby po deszczu zaczęły się pojawiać osoby dysponujące niezwykłymi siłami duchowymi. Opowiadano o nich cuda, które podawane z ust do ust, nabierały coraz większej mocy: *„Ks. rektor Jakubowski widział, jak dwie młode i ładne córki księgarza Czecha wprawiały w ruch stoły, szafy, poduszki i obrazy..."* pisał Franciszek Wężyk do swego przyjaciela Kajetana Koźmiana. *„Służąca państwa R.* – donosiła gazeta – *nie potrzebuje wcale seansu, ale w minutę po wzniesieniu rąk nad stołem unosi go do góry"*.

Ogromnie zaangażował się w sprawy pozaziemskie nasz „trzeci wieszcz", Zygmunt Krasiński. Już ciężko chory, chodzący o kulach, zaczął bywać na seansach. Kiedy zaś dobiegła go wieść, że w Paryżu występuje słynny David D. Hume *„medium amerykańskie, przez Aleksandra Branickiego utrzymywane"* – nie zważając na postępującą chorobę, przyjechał nad Sekwanę. I w swym paryskim mieszkaniu przy rue Dauphot 9, zainicjował serię eksperymentów z jego udziałem.

Musiały one być głośne – nawet jak na Paryż – skoro po pewnym czasie demokratyczny dziennik „Niezależność", pół-żartem, pół-serio, ale z przekąsem, zanotował, że *„Hr. Krasiński przemienił swe salony w oberżę szatana"*.

A duchy tak opanowały hrabiego, że nawet wysyłając przyjacielowi paczkę cygar, nie mógł się powstrzymać, by nie pisać:

„Więc gdy z tej paczki zapalisz cygaro,
Z gorętszą spojrzyj na te duchy wiarą..."

I nie był to żaden dowcip, lecz płynące z głębi serca przesłanie..

STOP! DOŚĆ JUŻ TYCH ŻARTÓW!

Na samym początku epoki wirujących stolików, wszystko co się wokół nich działo, przyjmowano z nabożnym skupieniem i głęboką wiarą. W miarę jednak, jak zainteresowanie tą zamorską modą zaczęło opadać, do głosu dochodzić poczęli nieco trzeźwiejsi obserwatorzy. I coraz częściej zapraszano niezbyt z tego zadowolone media do różnych instytutów naukowych, aby tam „w warunkach pełnej kontroli" – jak za każdym razem oświadczano – dokonać ostatecznych ustaleń. A mianowicie takich: czy dany pośrednik jest nędznym oszustem wyłudzającym od naiwnych pieniądze, czy też fenomenem dysponującym jakąś nieznaną nauce energią? A walka szła nie o byle co. Takiej np. Eusapii Palladino – o której przeczytacie w drugim odcinku – za jeden seans płacono, pod koniec XIX wieku, 125 dolarów! Była to suma, za którą prosty robotnik pracował często dwa miesiące. Inni brali bogate prezenty: klejnoty, powozy; jeszcze inni żyli w dostatku, będąc na utrzymaniu swych protektorów.

Co bardziej znaczącym wywoływaczom duchów zależało więc na tej swego rodzaju weryfikacji zawodowej. I choć niechętnie – poddawali się jej, z nadzieją, że uda im się okpić jakoś tych wysoko utytułowanych członków różnorakich akademii i uniwersytetów. A potem będą mogli wrócić do swego intratnego zajęcia, już w chwale zwycięzców.

Wielu z nich w pełni się to udało. A przy tej okazji – chyba po raz pierwszy na taką skalę i publicznie – wyszło na jaw, że ludzie nauki potrafią być tak samo naiwni i łatwowierni jak zwykli zjadacze chleba. Ale wtedy właśnie stracili wreszcie cierpliwość zawodowi iluzjoniści...

O tym, jak zawodowi magicy demaskowali zawodowych wywoływaczy duchów oraz o naiwności laureatów nagrody Nobla – już w sobotnim „ŚM".

JERZY DĄBROWSKI

Wywołanie ducha Barbary Radziwiłłówny przez mistrza czarnej magii Twardowskiego, w wyobraźni artysty

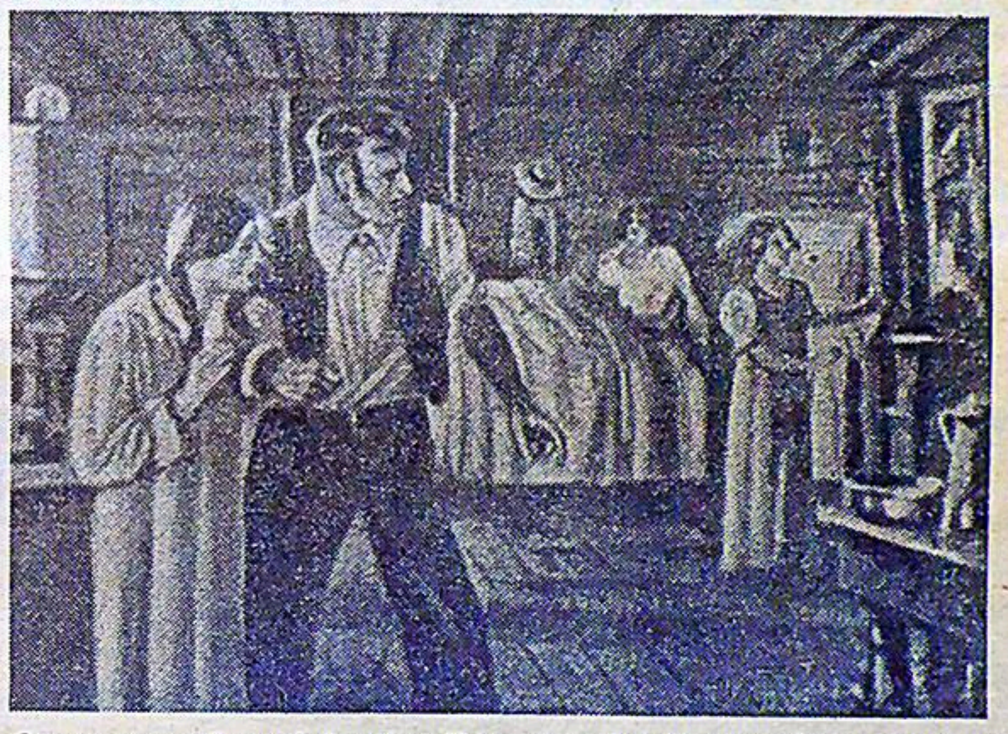

Oto sam początek ery wirujących stolików – amerykańskie siostry Fox spotykają się ze „stukającymi duchami" na fermie swego ojca

NA CO DZIEŃ Z HARCERSKIM PRAWEM

ROZMOWA

P.W. – W naszym szczepie paru instruktorów pali. Nie kryją się, uczciwie przyznają do swej słabości, ale przecież jawnie łamią dziesiąty punkt prawa.

A.D. – Naczelny Skaut Świata, generał Robert Stephenson Smith Baden-Powell, baron of Gilwell i twórca skautingu pisał, że skautmistrz na obozie, jeżeli pali, powinien to robić przy ognisku, bo tak bezpieczniej. O ile wiem BP sam palił fajkę, pewnie także w kręgu ogniskowym...

P.W. – Przyznasz, że to brzmi szokująco.

A.D. – Dlaczego? W brytyjskim prawie skautowym nie ma zakazu palenia.

P.W. – Ale w polskim, harcerskim jest, zawsze był! Pamiętasz jak na łamach „Skauta" Andrzej Małkowski odpowiadał na jeden z listów? „Doniesiono mi, że skauci w Przemyślu palili papierosy i pili napoje alkoholowe. Wiadomość jest nieścisła, ponieważ nie byli to skauci – skauci bowiem nie piją i nie palą."

A.D. – A jednak właśnie w czasach Małkowskiego takiego zakazu w polskim prawie skautowym nie było. Pierwsza redakcja zawierała tylko dziewięć punktów. Potem dodano dziesiąty: „Skaut jest czysty w myśli, mowie i uczynkach – wolny od nałogów pętających ducha i osłabiających ciało." Można być wolnym od nałogów, a mimo to czasem sobie zapalić i popić piwem.

P.W. – No właśnie. Granica między paleniem „czasem" a nałogiem jest tak nieuchwytna, że niebawem, po okrzepnięciu ideologii harcerskiej zdecydowano się postawić tu jednoznaczny zakaz. Dlatego dziś w prawie czytamy: „Harcerz chce być silny i sprawny, nie pali tytoniu, nie pije napojów alkoholowych i walczy z nałogami."

A.D. – Nie rozśmieszaj mnie! Chcesz być zdrowy – nie pal, tak? A jeśli ktoś mieszka, dajmy na to, w Chorzowie czy Zabrzu, wdycha więcej trujących wyziewów niż nałogowy palacz? Dla dorosłego człowieka wypalenie paru papierosów i wypicie z okazji imienin lampki wina jest praktycznie obojętne dla zdrowia. Bardziej szkodzi życie w nowoczesnym świecie, gdzie zawsze można wpaść pod samochód, nabawić się nerwicy i wrzodów. A ile niebezpieczeństw czyha na harcerza na obozie? Może więc zmieńmy ten punkt prawa: „Harcerz chce być silny i sprawny, nie jeździ na obozy i nie naraża się na stresy"?

P.W. – Zdenerwowałeś się stary, zapal sobie, bo się wrzodów nabawisz.

KOMENTARZ

Przytoczona wyżej rozmowa nigdy się nie odbyła, choć podobne toczymy często od wielu już lat. Rozszyfrujmy inicjały rozmówców P.W. – to ja, autor niniejszego, A.D. – to też ja, ale jako Advocatus Diaboli, rzecznik prasowy diabła, czyli głos strony przeciwnej. Wydawać by się mogło, że A.D. zyskał w dyskusji wyraźną przewagę, a więc ja, mimo że noszę na rękawie lilijkę instruktorską z wyszytą „10" – symbolem przestrzegania **całego** Prawa Harcerskiego, muszą się przyznać, że mam poważne wątpliwości w sprawie ostatniego punktu tego prawa. Uściślijmy: nie wątpię ani przez chwilę, że zawarte w dziesiątym punkcie zakazy są słuszne i jak najbardziej potrzebne, moje wątpliwości dotyczą **uzasadnienia zakazu**, a więc sposobu sformułowania wspomnianego punktu harcerskiego dekalogu.

Niech mi ktoś udowodni, że każdy wypalony papieros i każda wypita przeze mnie lampka wina zmniejszałaby moją siłę i sprawność bardziej niż wypijana dziesięć razy dziennie kawa (to mi wolno), praca przy biurku (muszę), wdychanie powietrza w moim mieście (muszę), a zmienię zdanie i odwołam to, co wyżej. A przecież według znanego nam wszystkim i wielokrotnie dyskutowanego, przysłowiowego już „dziesiątego punktu" harcerz właśnie dlatego nie pije i nie pali, że chce być silny i sprawny.

Ja nie piję, nie palę i mam prawo do noszenia na instruktorskiej lilijce wspomnianej już „10" z przyczyn zupełnie innych. Przekonuje mnie odmienny zapis ostatniego prawa harcerskiego (bo tak się kiedyś mówiło – było dziesięć praw harcerskich, a nie dziesięć punktów), zapis sprzed lat bardzo wielu, a przecież nadal aktualny: „Harcerz jest czysty w myśli, mowie i uczynkach, nie pali tytoniu, nie pije napojów alkoholowych." Brzmi to może bardzo staroświecko, ale zastanówmy się, co znaczy. Nie ma tu mowy o szkodliwości palenia dla zdrowia, co jak wykazał A.D. jest argumentem niezbyt przekonywającym – zakaz palenia i picia, ten sam co w dzisiejszym prawie, odwołuje się w uzasadnieniu do **moralności** harcerza i harcerki. Należałoby go odczytać tak: chcesz być czysty, a więc **moralnie lepszy** – nie pij i nie pal. Harcerz nie powinien pić i palić w ogóle, nie tylko nałogowo, bo picie i palenie to skaza charakteru. Świadoma rezygnacja z używek jest dowodem panowania nad sobą, siły charakteru, to wybór pewnego stylu życia, który twórcy harcerstwa, a i my uważamy za moralnie wartościowszy. Albo inaczej: człowiek nie ulegający nałogom i umiejący sobie zawsze odmówić drobnej przyjemności, jaką jest dla palacza zaciągnięcie się „dymkiem", dobrowolnie rezygnujący z ułatwiania sobie życia, „oszukiwania" organizmu sztucznymi środkami odurzającymi w rodzaju nikotyny czy alkoholu, jest niewątpliwie moralnie zdrowszy. Taki powinien być każdy harcerz.

PAWEŁ WIECZOREK

JAK TO NA WOJENCE ŁADNIE?

Wąziutką wstążeczkę Orderu Virtuti Militari ledwie się dostrzega w klapie marynarki. W odczuciu Polaków odznaczenie to stanowi świadectwo bohaterstwa żołnierskiego, odwagi, poświęcenia i honoru. Pan Wincenty Chrząszczewski otrzymał Virtuti Militari za pięć lat walki w Armii Krajowej.

Złoty Krzyż Virtuti Militari z rąk generała Skrzyneckiego w czasie powstania listopadowego w 1831 r. odebrał inny Chrząszczewski – Antoni, kapitan artylerii. Przyznano mu order, lecz wojskowy chirurg musiał obciąć strzaskaną w bitwie nogę. Zachował się nawet dokładny opis tej operacji przeprowadzonej w polowych warunkach. (Kapitan był bratankiem pradziadka p. Wincentego). W czasie Wiosny Ludów, gdy Polakom znów zaświtała nadzieja, powrócił z popowstaniowej emigracji. Skończyło się tylko na marzeniach. Znalazł schronienie u generała Dezyderego Chłapowskiego w Turwi i zajął się pracą literacką. Za udział w powstaniu styczniowym bratanek dziadka p. Wincentego został skazany na Syberię, ślad się po nim urywa. Ród Chrząszczewskich herbu Trzaska wywodził się z Kujaw, a w połowie XVIII wieku jedna jego „gałąź" osiadła na Ukrainie. Tu w 1770 r. urodził się Antoni Chrząszczewski, autor wydanych parę lat temu wspomnień pt. „Pamiętnik oficjalisty Potockich z Tulczyna".

W guberni kijowskiej w 1903 r. przyszedł na świat prawnuk pamiętnikarza, bohater mojej opowieści – Wincenty – najmłodszy spośród pięciorga rodzeństwa. Ojciec uprawiał ziemię i hodował konie. Ziemi było dużo, a stadnina liczyła kilkaset koni... Pan Wincenty ironizuje, że wywodzi się z rodziny obszarniczej. Zaraz zresztą dodaje, że dziadek ziemię tę tylko dzierżawił. Nie chciał mieć majątku, póki nie uwłaszczono chłopów. Mierziła go sytuacja, w której musiałby – jak to było w zwyczaju – wyznaczać pańszczyźnianych na 25-letnią służbę w carskim wojsku... Nie jest to naciąganie faktów aby rodzinna saga brzmiała ładniej. Są to fakty.

W 1917 roku, po obaleniu caratu, Polska Macierz Szkolna na Rusi otworzyła na Ukrainie polskie szkoły. Jesienią 14-letni Wincenty wyjechał do Średniej Polskiej Szkoły w Humaniu. Ulica, przy której stało gimnazjum, kończyła się urwiskiem, wąską ścieżką w dół można było dojść do głównej bramy parku „Zofiówka" – opisywanego przez poetę Stanisława Trembeckiego oraz opisanego przez pradziadka w pamiętnikach.

Przez Humań przeciągały armie: Petlury, Machno i innych. Miasto przechodziło z rąk do rąk, w szkole toczyło się normalne życie. Na fotografii z 1918 roku, spośród chłopięcych twarzy pan Wincenty wynajduje swoich przyjaciół. Kolegą z tej samej ławki był np. Aleksander Kamiński, późniejszy autor „Kamieni na szaniec", harcerski instruktor. Wtedy był już przybocznym drużynowego, drużyna nosiła imię Tadeusza Kościuszki.

Większość uczniów humańskiej szkoły klepała biedę, gnieżdżąc się w nędznych stancjach, nauka polskiej literatury i historii wynagradzała ubóstwo materialne i niepewność jutra.

19-letni Wincenty Chrząszczewski przyjechał sam z Ukrainy do Polski w 1921 roku w sierpniu, furą. Była to przeprawa przez granicę – nielegalna.

„UŁANI, UŁANI MALOWANE DZIECI"

Szkoła Podchorążych wydała się najstosowniejszym miejscem, w jakim pragnął się znaleźć młody człowiek wychowany w patriotycznej atmosferze polskiego domu; egzamin zdał pomyślnie. Tuż obok szkoły znajdował się Belweder, warta w rocznicę Listopadowej Nocy była romantycznym przeżyciem. Szkoła miała w Łazienkach swój własny szwadron kawalerii – podchorążowie ćwiczyli jazdę konną. Wincenty Chrząszczewski dosiadał konia od dziecka; po roku został skierowany do Oficerskiej Szkoły Kawalerii. Dowódcą jej był generał, który wiele lat spędził w służbie austriackiej i zabawnie kaleczył język polski. Do podchorążych zwracał się per „kadeta". Pewnego razu, gdy dostrzegł podchorążego, który ćmił papierosa, zapytał z naganą w głosie: „dlaczego kadeta pali?" „Panie generale, ja myślę, że na świeżym powietrzu można" – sumitował się młodzieniec. „Tam gdzie jest generała – odparł z powagą przełożony – tam nie ma świeży luft".

W 5 lat po odzyskaniu niepodległości, w 1923 roku, odbyła się pierwsza promocja oficerów kawalerii w wolnej Polsce. Ppr. Wincenty Chrząszczewski otrzymał przydział do 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, wsławionych w 1917 roku bitwą z trzema zaborcami w Stanisławowie i pod Krechowcami. Pułk stacjonował w Augustowie, tam więc podporucznik zdobywał dalsze stopnie. Przez 4 lata pełnił obowiązki adiutanta pułku, był więc jego szefem sztabu.

Krążyło wtedy wiele mitów o ułanach, mawiano: „nie ma pana nad ułana". Prawda wyglądała inaczej. Wyposażenie oficera kawalerii było bardzo kosztowne i owe koszty ponosił sam zainteresowany. Służbę zaczynał zatem od zaciągania długów na ekwipunek. Tak było i w przypadku ppr. W. Chrząszczewskiego. Dochodził jeszcze koszt utrzymania pułkowej orkiestry, gdyż wówczas kawaleria orkiestry na etacie nie miała, łożyło się na nią z oficerskich kieszeni.

Dodatkowym zajęciem adiutanta pułku, a później rotmistrza 2 szwadronu, stało się muzeum pułkowe, które rozszerzył i uzupełniał. Gromadził w nim broń, mundury, portrety, obrazy batalistyczne, pieczęcie pułkowe i różne dokumenty. Kiedy w przededniu II wojny światowej ogłoszono mobilizację, odesłał zbiory do Wołkowyska. Dziwnym trafem znalazły się w podziemiach Muzeum Narodowego w Warszawie. Częściowo rozkradzione przez okupantów, w sporej części jednak ocalały. Dołączyła do nich później rogatywka i kurtka mundurowa byłego rotmistrza Chrząszczewskiego. Dziś znajduje się wraz z innymi pamiątkami w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

PSEUDONIM „KRUK"

Zresztkami szwadronu, 24 września 1939 roku, znalazł się rtm. Chrząszczewski na Litwie i tam został internowany. Z obozu jenieckiego uciekł, a ponieważ nie było możliwości przedarcia się na Zachód, gdzie formowała się polska armia, wszedł do konspiracji w Związku Walki Zbrojnej, który później przekształcił się w Armię Krajową. Z fałszywymi dokumentami pod pseudonimem „Kruk", został zastępcą komendanta podokręgu kowieńskiego, a następnie inspektorem AK. O czterech latach działalności w Armii Krajowej na Kowieńszczyźnie pan Wincenty Chrząszczewski mógłby napisać grubą książkę. I byłyby w niej opisy takich wydarzeń i dramatycznych przeżyć, jakich

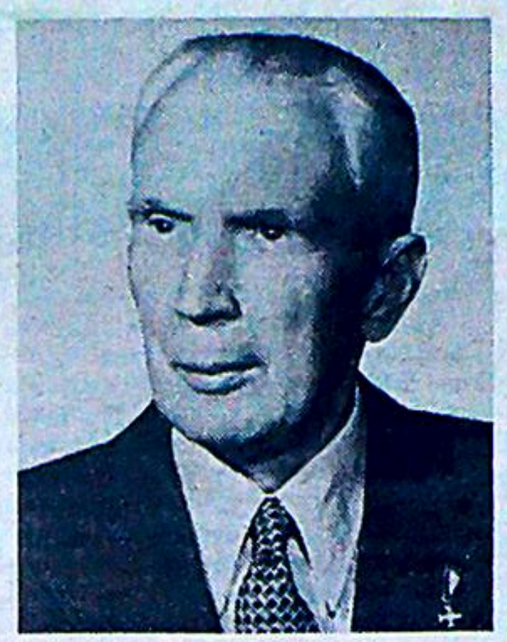

Ppłk W. Chrząszczewski obok Orderu Virtuti Militari, dwukrotnie otrzymał Krzyż Walecznych, Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Partyzancki i inne odznaczenia krajowe i zagraniczne

jego pradziadek – pamiętnikarz – nie doświadczył w czasach swojego udziału w Kawalerii Narodowej i Sejmu Czteroletniego...

Akowska epopeja „Kruka" zakończyła się w 1945 roku... Po raz drugi jechał do Polski w 1955 roku by życie zacząć od nowa.

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Po 15-letniej rozłące miał spotkać żonę i syna. Syn był już magistrem prawa, żona wplątana w poszlakowy proces polityczny czekała na oczyszczenie z bezpodstawnych oskarżeń... i z więzienia. Skomplikowane są losy Polaków, wmieszanych w czasy II wojny światowej...

Pan Wincenty podjął wkrótce pracę w Polskiej Akademii Nauk, gdzie pracował na różnych stanowiskach przez 12 lat. Tu przydała się jego znajomość obcych języków. Następnie aż do emerytury w 1968 r. kierował biurem Komitetu Międzynarodowej Współpracy Geofizycznej, organizując m. in. wyprawy na Spitsbergen i Antarktydę. Włączył się też do działalności w ZBoWiD. Gorycz doznanej krzywdy nie pokonała w nim człowieka. Opiekował się byłymi podkomendnymi, współdziałał w komisji płk. „Radosława" zajmującej się odznaczeniami i weryfikacją akowców z Wileńszczyzny. Jako jeden z nielicznych, którzy wiedzą wszystko o 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, współpracuje z Muzeum Wojska Polskiego. Dla Słownika Bibliograficznego opracowuje życiorysy ludzi zasłużonych dla Polski.

Synowi Antoniemu i ukochanej czternastoletniej wnuczce Kindze chce pozostawić obraz swojego życia oraz rodziny, która trochę przysłużyła się krajowi. Ocalić od zapomnienia – to jego dewiza.

ANNA GRZYBOWIECKA

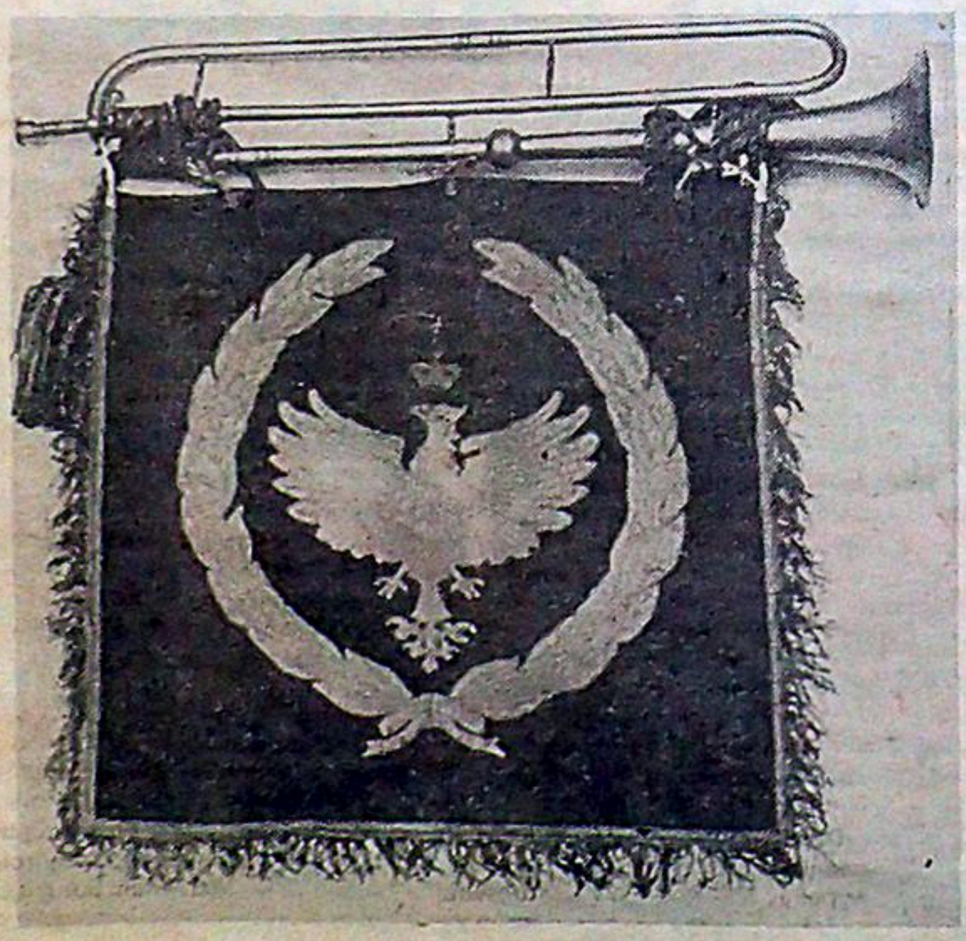

Tzw. płomień do trąby fanfarowej 1 Pułku Ułanów Krechowieckich z 1918 roku, zidentyfikowany dzięki panu Chrząszczewskiemu w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego

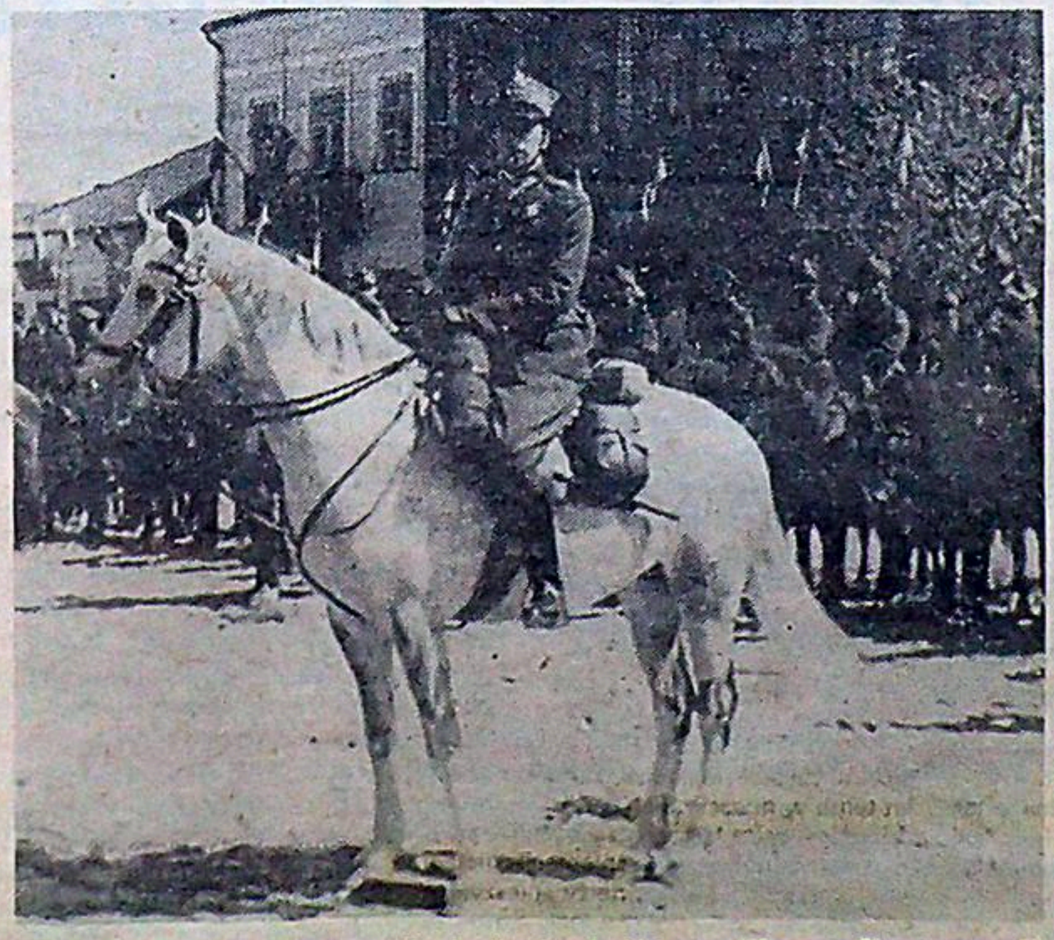

Dowódca 2 szwadronu 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, rtm. Wincenty Chrząszczewski w czasie defilady w Augustowie w 1938 roku na koniu Zorza

Fot. Lucyna Jastrzębska

UWAŻAJ – COŚ JEDZIE (15)

TO TRZEBA WIEDZIEĆ:

- Kierujący rowerem powinien trzymać kierownicę co najmniej jedną ręką oraz mieć obie nogi na pedałach;
- nie czepiać się innych pojazdów będących w ruchu;
- nie przewozić innych osób na ramie lub bagażniku roweru;
- ustępować drogi pieszym korzystającym z pobocza drogi;
- nie omijać pojazdów, które zatrzymały się w celu przepuszczenia pieszych przechodzących przez jezdnię;
- nie jeździć środkiem jezdni lub jej lewą stroną;
- nie wyprzedzać innych użytkowników, gdy droga nie jest widoczna na dostateczną odległość;
- od zmroku do świtu kierować rowerem tylko prawidłowo oświetlonym.

ZADANIE KONKURSOWE NR 15

Do jakich znaków i sygnałów obowiązany jest stosować się w pierwszej kolejności kierujący rowerem?

a) sygnałów świetlnych, a następnie pozostałych znaków drogowych

b) sygnałów i poleceń podawanych przez kierującego ruchem, a następnie pozostałych znaków i sygnałów

c) znaków drogowych pionowych, a następnie pozostałych znaków i sygnałów

d) znaków poziomych (namalowanych na jezdni), a następnie pozostałych znaków i sygnałów.

CENNE DZIEŁA SZTUKI KAMIENIARSKIEJ

Swoistym wytworem polskiego rzemiosła kamieniarskiego okresu gotyku są chrzcielnice, występujące dość licznie na terenie naszego kraju. Posiadają one bogato zdobione ornamenty geometryczne i roślinne oraz dekorację figuralną, a ich kształt wzorowany jest w zasadzie na formie kielicha. Do typowych tego rodzaju dzieł sztuki gotyckiej należy między innymi chrzcielnica w Rzeczycy (województwo piotrkowskie), wykonana z piaskowca w roku 1510.

Najbardziej ozdobną, posiadającą dużą wartość artystyczną chrzcielnicą jest praca kamieniarska znajdująca się w kościele w Wielgomłynach (także województwo piotrkowskie). W drugiej połowie XV stulecia musiał działać w tej miejscowości jakiś wybitniejszy rzemieślniczy warsztat kamieniarski, jak na to wskazuje – obok wymienionej chrzcielnicy – również portal kościelny i antepedium, nawiązujące do starej tradycji krakowskiej.

Wielgomłyńska, bogato ornamentowana chrzcielnica z herbami Pobóg, Prus, Dąbno i Leliwa, jak i niektóre inne obiekty tego rodzaju stanowią cenne zabytki ruchome polskiej sztuki gotyckiej, godne na pewno większego niż dotychczas zainteresowania turystów.

HENRYK SZUBERT

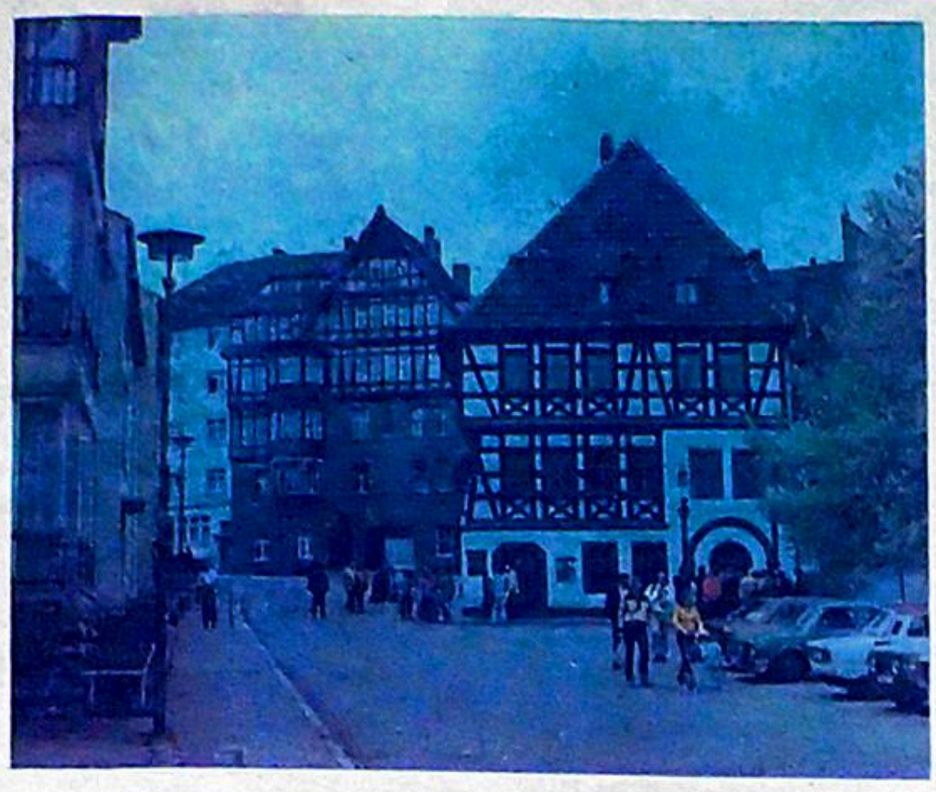

Plac Marcina Lutra. Na pierwszym planie dom, w którym mieszkał wielki reformator

Korespondencja z NRD

W MIEŚCIE WARTBURGÓW

Wszystko tu jest ze znakiem „Wartburga". Przed restauracją hotelu „Stadt Eisenach" stoją samochody marki wartburg. W restauracji natomiast, w której siedzę i czekam na obiad, serwetki ozdobione są znakiem „Wartburg-Automobile"... A jak już mowa o samochodzie, to warto wspomnieć, że w tym najdalej na zachód wysuniętym mieście powiatowym NRD, liczącym dzisiaj przeszło 50 tysięcy mieszkańców, już w 1898 roku wyprodukowano pierwszego wartburga. Ten dwucylindrowy czterotakt wyposażony był w silnik o pojemności 100 centymetrów o mocy... 4 KM. Model ten przetrwał jednak tylko dwa lata, gdyż w 1900 roku pojawił się już nowy... z kierownicą. Od tego czasu produkcja ruszyła lawinowo. W Eisenach, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczęły pojawiać się najróżniejsze typy wartburga, nie wyłączając, oczywiście, i wersji sportowej (wartburg 328 produkowany w latach 1938–39) oraz limuzyn.

– Po II wojnie światowej – kontynuuje moja przewodniczka pani Zofia Wachmüler – w Eisenach podniesiono z gruzów Zakłady Samochodowe Eisenach, czyli jak to tutaj określają, VEB Automobilwerk Eisenach. W zburzonych w 70% obiektach fabrycznych, z 225 członkami załogi, rozpoczęły one pierwszą powojenną produkcję zaczynając od wyrobu naczyń kuchennych, wiader i wózków. Dzisiaj ten drugi co do wielkości zakład przemysłowy okręgu erfurckiego zatrudnia 8 tysięcy pracowników, a z jego taśmy produkcyjnej schodzą nowoczesne samochody osobowe typu wartburg 353. Do tej pory wyprodukowano kilkaset tysięcy tych samochodów, które w całym świecie rozsławiły miasto i znak firmowy jego największych zakładów. Wszystkie modele znajdują się w zakładowym muzeum. Warto je zwiedzić – dodaje przewodniczka, ale pójdźmy obejrzeć inny wartburg, ten najstarszy.

Jeszcze nie bardzo wiem, o co pani Zofii Wachmüller chodzi, ale po obiedzie wyruszamy. Idę za nią „krok w krok". Kluczymy malowniczymi uliczkami zabytkowej starówki. Przechodzimy przez ryneczek obwarowany z jednej strony ratuszem, z innej kamieniczkami, a jeszcze z innej kościołem św. Jerzego. Niewiele on różni się od naszego w Krakowie; wszędzie kwiaty, kwiaty i kwiaty. Można je kupić za grosze: goździki, tulipany, róże... niezapominajki. Wszyscy zachwalają swój towar, podobnie jak w dawnych wiekach, dwieście, trzysta, czterysta lat temu.

W jednym z rogów, u wylotu małej uliczki zatrzymujemy się przy olbrzymiej czarnej wyrwie.

– Tutaj – informuje mój „cicerone", wskazując palcem na czarną studnię osmoloną dymem – Napoleon...

CIĄG DALSZY NA STR. 7

Model sportowego wartburga – 328

Eisenach, powiatowe miasto w NRD, zasłynęło z wartburgów

ZAMORSKIE SPECJAŁY (10)

KAPRYŚNA ŚLIWKA

Rys. „Früchte der Erde"

Gdyby liczi (*Litchi sinensis*) mogło rosnąć i owocować w Polsce, to sad założony z tego gatunku drzew przez Mieszka I, z powodzeniem eksploatowaliby do dziś jego potomkowie. Długowieczność tych wiecznie zielonych roślin jest zadziwiająca i dorównuje oliwce. W prowincji chińskiej Fukien rośnie egzemplarz, który 1300 lat temu posadził tam mnich buddyjski imieniem Hui-lin! I ma się zupełnie dobrze...

Owoce tego Matuzalema sadów są uważane za najsmaczniejsze w świecie. Dość duże, bo dochodzące do 20 dkg wagi, są najczęściej jaskrawoczerwone i okryte cienką i suchą skorupką. Jest ona niejadalna, tak samo jak i małe, brązowe nasiono ukryte wewnątrz owocu.

Zdawać by się mogło, że roślina o tak znakomitych właściwościach powinna być bardzo rozpowszechniona. Tak jednak nie jest. Liczi ma bardzo specyficzne wymagania klimatyczne – lubi wyłącznie klimat umiarkowanie gorący, ale i bardzo wilgotny. Jeśli przez dwa miesiące w roku nie będzie miała średnich temperatur w granicach +10°C (a więc dość niskich) w ogóle nie zakwitnie i nie zaowocuje. Do tego ogromnie pracochłonne jest produkowanie sadzonek, które otrzymuje się z tzw. odkładów powietrznych. Specjalnie spreparowaną gałązkę należy owinąć masą torfową i zwilżać ją codziennie przez... pół roku! Tak ukorzenione sadzonki odcina się potem i sadzi do ziemi, gdzie bardzo kapryśnie się przyjmują. Do tego wszystkiego owoce już na drugi, trzeci dzień po zerwaniu tracą smak, nie nadają się więc do przechowywania w temperaturze pokojowej. A drzewo owocuje tylko dwa miesiące w roku.

Jest to jednak taki specjał, że pewna łakoma cesarzowa chińska panująca tysiąc lat temu w mieście Sian, kazała sobie codziennie – przez te sześćdziesiąt dni – przywozić świeże owoce liczi z plantacji odległej o 800 km od stolicy. Kurierzy spieszyli co koń wyskoczy, zmieniając rumaki w drodze, bowiem w przypadku gdy przywieźli owoc niezbyt świeży – obcinano im głowy. **(jd)**

KLUB ZDOBYWCÓW OCEANÓW ZAPRASZA W SWOJE SZEREGI JUŻ OD DZIŚ!

- Ciągnie Cię daleki świat?
- Pragniesz wyruszyć na nieznane szlaki?
- Ciekawi Cię jak jest „za siódmą górą", „za wielką wodą" i co kryją głębie oceanów?

Odpowiedzi na swoje pytania, a także możliwość wyruszenia na morze znajdziesz w Klubie Zdobywców Oceanów, który powstaje przy współudziale Ligi Morskiej, magazynów telewizyjnych: „Latającego Holendra" i „Bractwa Żelaznej Szekli" oraz redakcji „Morza" i „Świata Młodych".

O bliższych szczegółach związanych z działalnością w Klubie dowiesz się w dzisiejszej audycji „Latającego Holendra" w pierwszym programie TV, (godz. 16,00) oraz w dniu 31.XI. w audycji „Bractwa Żelaznej Szekli" (program drugi) w godzinach popołudniowych. Natomiast „Świat Młodych" program Klubu na najbliższe tygodnie przedstawi w jednym z pierwszych numerów listopadowych.

Dziś drukujemy kartę ewidencyjną członka klubu. Dokładnie ją przeczytaj, wypełnij, wytnij i wyślij pod adresem: **Redakcja „Latającego Holendra" przy Gdańskiej TV, ul. Sobótki nr 15; 80-247 Gdańsk.** Na kopercie napisz hasło: **„Klub Zdobywców Oceanów".**

(wm)

.....
nazwisko i imię

.....
data urodzenia

.....
adres

.....
szkoła i klasa ewentualnie zawód i miejsce pracy

.....
zawody rodziców

Czy pływasz? Czy masz kartę pływacką? .....

Czy posiadasz stopień żeglarski, jaki? .....

Czy należysz do klubu żeglarskiego, jakiego? .....

Czy obierzesz zawód związany z morzem, jaki? .....

W tematyce morskiej najbardziej interesuje mnie .....

.....

.....

.....

KTO ZNISZCZYŁ HAWAJE?

USA (PAP). Przekonanie, iż przed skolonizowaniem Hawajów przez Europejczyków, wyspa ta była prawdziwym rajem natury, wydaje się fałszywe w świetle badań przeprowadzonych przez dwoje amerykańskich uczonych. Dr dr Storrs L. Olson i Helen F. James ze Smithonian Institution, którzy opublikowali wyniki swych badań na łamach czasopisma SCIENCE. Twierdzą oni, że Polinezyjczycy jeszcze przed przybyciem Europejczyków zniszczyli znaczne połacie ziemi i wytrzebili 39 gatunków ptaków, czyli ponad połowę żyjących kiedyś na tej wyspie.

Korzystając z technik i metod archeologicznych, obaj uczeni stwierdzili, iż 39 brakujących gatunków wyginęło prawdopodobnie w latach 400 do 600 n.e., tj. w okresie gdy Polinezyjczycy kolonizowali wyspę. Znalezione szczątki niektórych gatunków ptaków miały zwęglone kości. Wskazuje to, iż ptaki te były traktowane przez ówczesnych Polinezyjczyków jako zwierzyna łowna. Niektóre z wytrzebionych gatunków – to nie potrafiące fruwać gęsi i ibisy. Były więc łatwym do upolowania celem. Obaj uczeni podkreślają jednak, że łowiectwo nie mogło być jedyną przyczyną wytrzebienia tak wielu gatunków. Dochodzą oni do wniosku, że główną przyczyną było wypalanie lasów pod farmy rolne. Dzienniki podróży wielu Europejczyków, w tym kapitana Jamesa Cooka, który pierwszy wylądował na tej wyspie w 1778 r., też wspominają o wypalaniu lasów i o intensywnej uprawie ziemi przez tubylców. **(tok)**

GWIAZDOZBIÓR

NASTASSIA KINSKI – gwiazda lat osiemdziesiątych

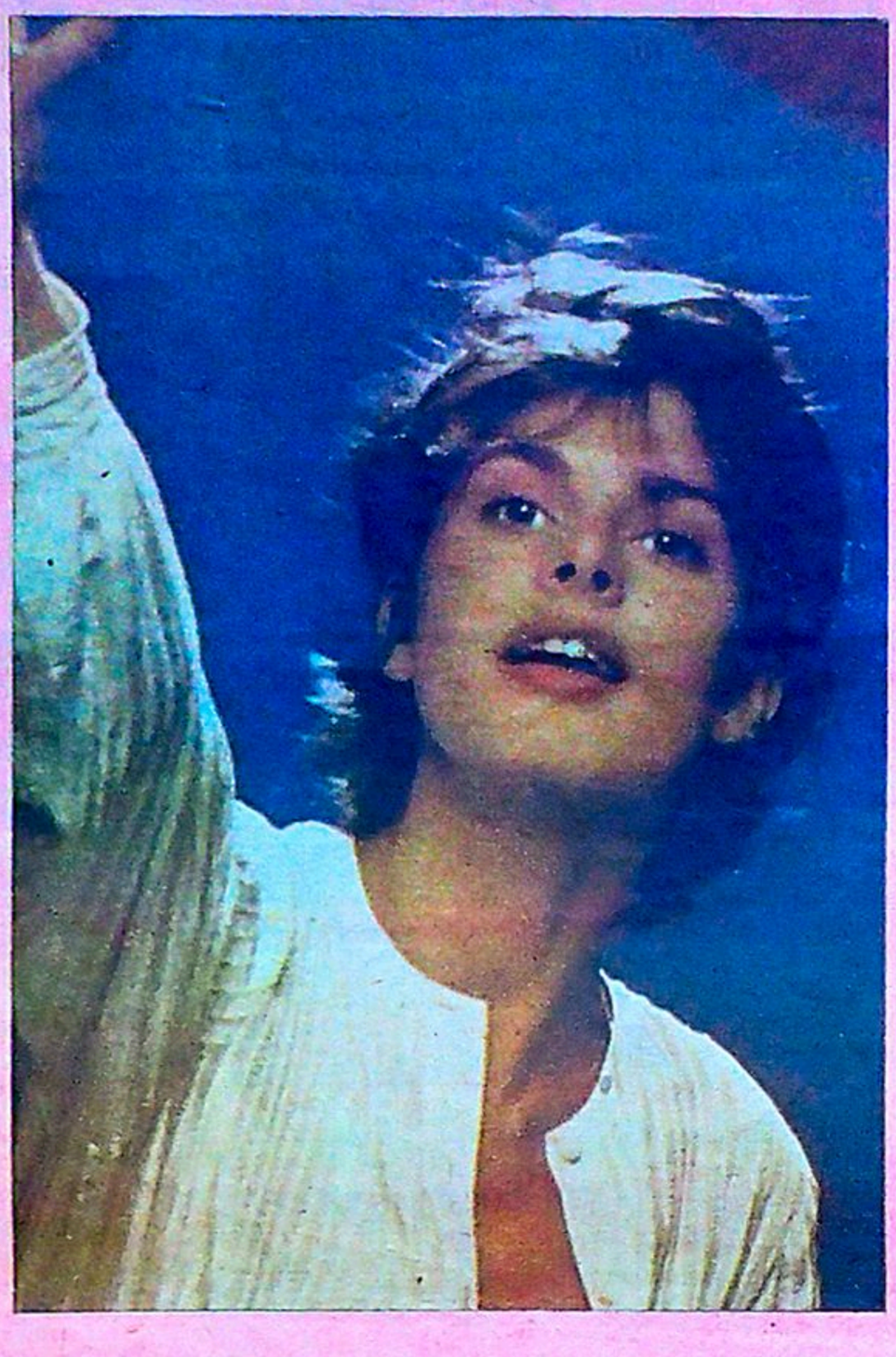

Nastassia Kinski ma dopiero 21 lat. Jest młodą, dopiero wkraczającą w życie dorosłe dziewczyną, a już aktorką o międzynarodowej sławie. Została nią nie ze względu na blask nazwiska ojca – Klausa (oglądaliśmy go ostatnio w filmie Herzoga „Nosferatu-wampir" i w czasie tygodnia filmów RFN w „Fitzcceraldo"). Jak wiele słynnych obecnie gwiazd, trafiła do filmu przez przypadek.

Roman Polański przez wiele lat myślał o ekranizacji znanej wiktoriańskiej powieści Thomasa Hardy'ego „Tessa d'Urberville". Zwróciła mu na jej piękno uwagę, na krótko przed tragiczną śmiercią, żona – Sharon Tate. Długo nie mógł zdecydować się na obsadzenie roli tytułowej, aż w roku 1975 zauważył w czasie festiwalu rocka w Monachium Nastassię. Smukła ciemnowłosa czternastolatka o subtelnej buzi, przypominająca z profilu Ingrid Bergman z okresu jej młodości – zauroczyła go. Wiedział już, że właśnie tak a nie inaczej wyobraża sobie Tess!

Niełatwo jednak z dziecka zrobić gwiazdę. Przede wszystkim trzeba było ją pokazać światu. Uczynił więc Nastassię bohaterką reportażu fotograficznego we wpływowym piśmie „Vogue" i podpisał kilkuletni kontrakt. W tymże roku Nastassia zagrała pierwszą, niewielką zresztą, filmową rolę w „Falsche Bewegung" Wima Wendersa. Następna jej kreacja była już trudniejsza. Staranna reklama poprzedziła jej udział we włoskim filmie „Cosi come sei" Alberto Lettaudy u boku Marcello Mastroianniego. Jej zdjęcia w prasie pojawiały się coraz częściej.

Ten rozdział jej kariery był przygotowaniem do przyszłej roli Tess. Oswojona z pracą przed kamerą musiała teraz poznać język angielski, w którym kręcony miał być film Polańskiego. Na polecenie reżysera wyjechała więc w tym celu do Ameryki, a także spędziła kilka tygodni w Anglii, w Dorset, by nauczyć się tamtejszego dialektu.

Do ekranizacji „Tess" doszło dopiero w roku 1979. Dzięki staraniom Polańskiego Nastassia z wdzięcznej nastolatki zmieniła się w prawdziwą aktorkę. Jej rola w tym filmie, który obecnie oglądamy na naszych ekranach, stała się wielkim sukcesem.

Recenzenci i reżyserzy twierdzą, że Nastassia jest już dojrzałą artystką. Od czasu „Tess" z powodzeniem zagrała w kilku filmach role zupełnie odmienne niż naiwna, spontaniczna i przez to wyłamująca się z okowów wiktoriańskiej epoki, dziewczyna.

Najciekawszą z nich jest rola w filmie „Obnażona" Jamesa Tobacka – dramatycznej opowieści o międzynarodowym terroryźmie i o świecie mody. Nie tylko gra w tym filmie inaczej, ale zupełnie inaczej wygląda. Swe romantycznie długie włosy ścięła już zresztą do filmu Francisa Coppoli „One From the Heart" i pokazawszy zdumionej publiczności tę nową twarz stwierdziła, że znacznie lepiej czuje się jako dziewczyna współczesna.

Gwiazda Lattaudy, Polańskiego i Coppoli zaczęła właśnie zdjęcia we francuskim filmie Andrzeja Żuławskiego „Niewidoczni". Jest to dramat rodzinny: ojca i trzech synów – przyczyną ich tragedii będzie właśnie piękna Nastassia.

Czy życie dziewczyny – gwiazdy różni się od życia jej rówieśnic? Tego uniknąć nie można. Powoduje to właśnie sława, bogactwo i konieczność ciężkiej pracy. Ale marzenia Nastassii nie odbiegają od zwykłych westchnień dwudziestoletnich dziewcząt. Jest tylko może nieco od nich dojrzalsza. W wieku ośmiu lat opuszczona przez ojca, wychowana przez matkę – tęskni za prawdziwą rodziną. Chciałaby mieć dużo, dużo dzieci. Na razie czyni je chętnie obiektem swej drugiej poza filmem pasji – fotografii. O życiowych doświadczeniach, jakie zyskała dzięki pracy z wybitnymi reżyserami mówi: *„Polański zrobił ze mnie dzięki pracy kobietę niezależną, pracującą zawodowo i kochającą swoją pracę".*

Do każdej roli przygotowuje się bardzo poważnie. Nie ma ambicji bycia „piękną gwiazdą", ale dobrą aktorką. Nie obawia się najbardziej nawet szpecącej charakteryzacji. Czas wolny poświęca na czynny wypoczynek – tylko w towarzystwie mamy – fotografując i ucząc się malować. Jest poważna nad wiek, nawet jej stosunek do miłości nie ma niczego wspólnego z egzaltacją, typową przecież dla jej wieku. Stwierdza dojrzale i optymistycznie, choć sama przecież jeszcze nie przeżyła żadnych miłosnych dramatów: *Film Coppoli otworzył mi oczy na prawdę, że miłość przypomina Las Vegas – stolicę hazardu. Dziś jest się bogatym, jutro biednym. Ale pojutrze – można poczuć się znów bogatym, bogatszym niż kiedykolwiek.* **(eb)**

Fot. archiwum

DOM MODY świata młodych

NAJPIĘKNIEJSZA OZDOBA (cz. 3)

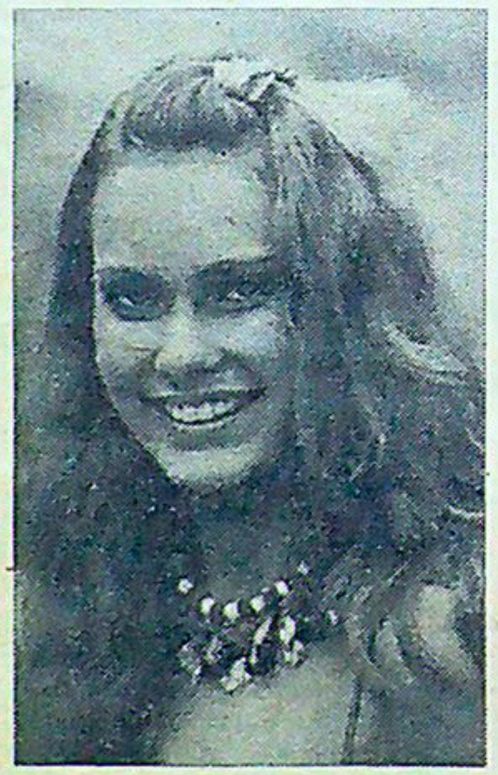

Przetłuszczanie się włosów (choć kłopotliwe ogromnie) jest stanem w miarę... normalnym. Natomiast bywają objawy, które można nazwać nienormalnymi. Np. gdy włosy nagle zaczynają się rozdwajać na końcach, albo co gorsza – gwałtownie wypadać.

Rozdwajanie się włosów może być spowodowane ich nadmiernym wymęczeniem (czesanie drucianą szczotką, kręcenie na metalowe drapiące wałki, tzw. trwała). Trzeba wtedy te rozdwajające się końce obciąć, i to nie tylko same końce, ale co najmniej centymetr powyżej i – zobaczyć, co się będzie działo dalej. Jeśli po miesiącu od tej „operacji" okaże się, że przestały się rozdwajać, to wszystko jest O.K., jeśli jednak będą się rozdwajały nadal – trzeba udać się do lekarza (internisty), bo jest to tylko objaw, którego powodem jest jakieś niedomaganie organizmu. Nadmierne zaś wypadanie włosów zawsze jest spowodowane jakimś niedomaganiem organizmu i w tym wypadku, już bez żadnych domowych eksperymentów, wizyta u lekarza jest niezbędna. Włosy bowiem, podobnie jak paznokcie, są pewnego rodzaju „zwierciadłem" – jeśli coś w człowieku nie gra, to właśnie w tym miejscu występuje jakaś reakcja.

Na szczęście rzadko się zdarza, aby tego typu kłopoty z włosami były objawem jakiejś poważnej choroby, na ogół kuracja witaminowo-wzmacniająca jest skutecznym lekarstwem, ale musi być zaaplikowana przez lekarza.

Co nie znaczy, że rzecz wyłącznie w tabletkach i innych lekarstwach. Wręcz przeciwnie – w takim wypadku żadne leki skutecznie nie pomogą jeśli człowiek sam siebie będzie zaniedbywał. Albo inaczej to sformułuję – można uniknąć takich kłopotów, jeśli się będzie o siebie odpowiednio dbało. Co to znaczy? A więc, po pierwsze – odpowiedni sposób odżywiania się, tj. co najmniej pół litra mleka dziennie, solidna porcja warzywnych surówek, świeże owoce, a za to mniej cukru i ostrych przypraw. A po drugie – odpowiedni tryb życia, tj. wystarczająca ilość snu i świeżego powietrza czyli co najmniej godzinny codzienny spacer.

Że nie ma to wszystko związku z włosami?! To się Wam tak tylko wydaje – ma, jak najbardziej ma. W zdrowym ciele nie tylko duch jest zdrowy, jak mówi przysłowie, ale i włosy są wówczas ładniejsze.

A na zakończenie – dzisiaj propozycje kilku fryzurek dla włosów długich. W sumie, przez trzy numery, tych propozycji było 21 – myślę, że da się z tego coś wybrać.

RIUSZKA

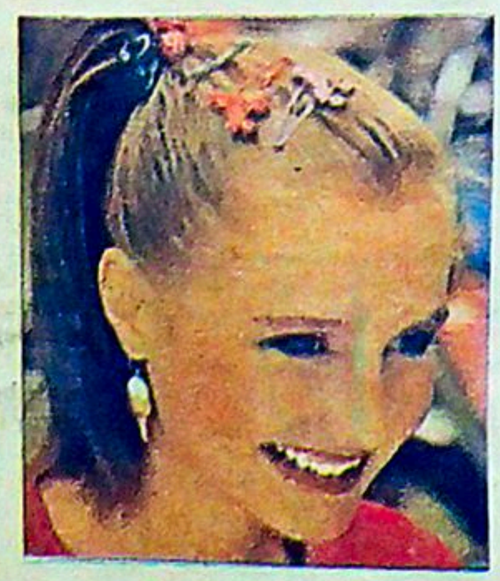

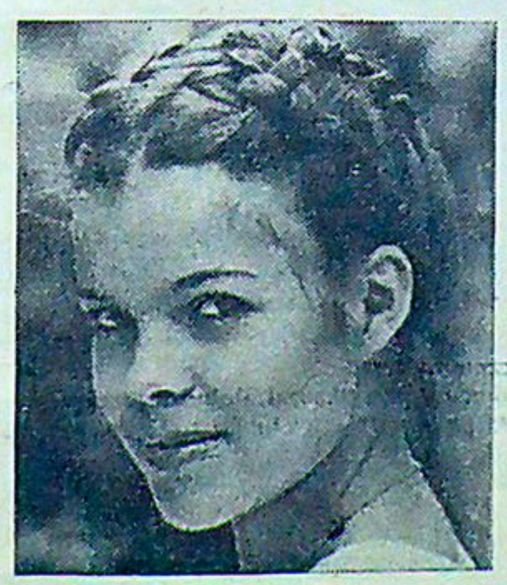

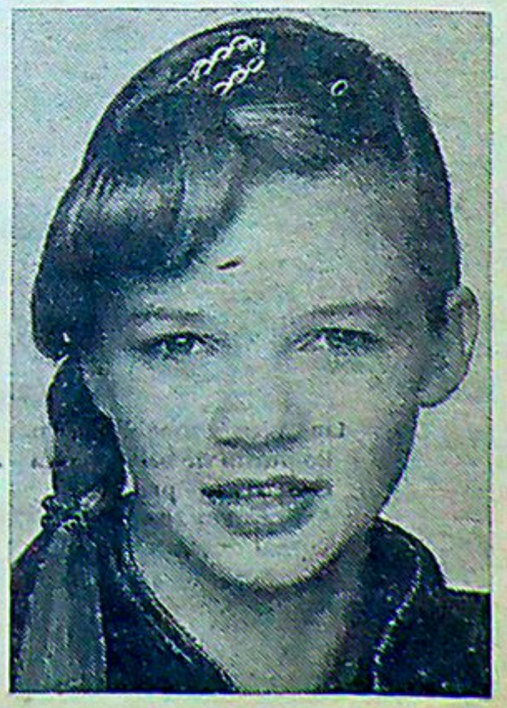

W MIEŚCIE WARTBURGÓW

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

Przerywam jej śmiejąc się: – Czy tu, jak i u nas, każdy, kto ma na miedzy drzewo, opowiada, jak to pod gruszką siedział...

– Tak, tak znam, znam, siedział... Tadeusz Kościuszko. Przestańmy jednak żartować z dwóch wielkich i wybitnych wodzów. Faktem historycznym jest przecież to, że w 1810 roku napoleońscy żołnierze, nie stosując się do przepisu władz miasta, zabraniającego przewożenia amunicji przez Eisenach, przetaczali wozy z prochem. Niestety, wskutek nieuwagi stało się nieszczęście. Jeden z wozów eksplodował i wyleciał w powietrze. Wybuch był tak ogromny, że zginęły wówczas 62 osoby, a w ruinie znalazło się kilka kamienic. Od tego czasu miejsce to pozostawiono „ku przestrodze żywych i ku pamięci tych, którzy zginęli".

Ale w drogę, czeka nas przecież... Wartburg. Na Placu Lutra zwiedzamy dom, w którym mieszkał głośny reformator pierwszych lat XVI wieku, następnie przy ulicy Frauenplan mijamy pomnik i dom Jana Sebastiana Bacha, gdzie 21 marca 1685 roku urodził się ten genialny kompozytor, i wreszcie po wyjściu na otwartą nie zabudowaną przestrzeń pani Zofia wskazuje ręką:

– Otóż i on, Wartburg w całej krasie.

– Ale zamczysko!

– Tak, ten Wartburg jest także znany w całych Niemczech. Stanowi on świetnie zachowany zespół architektury romańskiej. Pierwsze wzmianki o zamku pochodzą już z 1067 roku. Dzisiaj sale zamkowe można zwiedzać, trzeba się jednak wdrapać na górę. Idziemy?

– Tak, oczywiście, idziemy – odpowiadam z ochotą.

Po 45 minutach marszu, kiedy już odsapnęliśmy, trud wycieczki wynagrodzony jest widokiem rozległego i pięknego krajobrazu otaczającego zamczysko. Spod obronnej baszty podziwiamy Eisenach.

– Tam na południu – wskazuje ktoś ręką kominy – to nowoczesny Wartburg – oczywiście fabryka wartburgów.

– Stamtąd wyjeżdżają samochody tak trwałe jak ten wartburski zamek, piękne jak zamkowy pałac i śmigłe jak jego wieża Bergfrid – śmiejąc się mówi Zofia Wachmüller.

Tak to więc – myślę – tworzą się legendy. A swoją drogą wreszcie wiem, skąd wywodzi się nazwa tak przecież u nas popularnych samochodów.

Tekst i zdjęcia:
STANISŁAW STOLARCZYK

Andrzej Prażmo przedstawia dziś dość istotne problemy związane z wyprawą człowieka w przestrzeń kosmiczną. Szczególnie jeśli ma ona trwać dłuższy czas. A więc sprawa wyżywienia, ubioru, higieny osobistej a także utrzymywania odpowiedniej kondycji fizycznej. Ma to pierwszorzędne znaczenie dla kosmonautyki radzieckiej, która, jak wiadomo, preferuje długotrwałe loty, trwające po kilka miesięcy. Temat poruszony przez Andrzeja ledwie sygnalizuje złożoność i niemałe trudności techniczne w pokonywaniu nieprzyjaznego przecież człowiekowi środowiska, jakim jest kosmos. Do spraw tych będziemy jeszcze wracać.

PREZES

Wiele razy „Tomik" zamieszczał na swych łamach artykuły dotyczące lotów kosmicznych. W mojej wypowiedzi chciałbym nieco pogłębić ten temat o kilka spraw nie mniej ważnych podczas pobytu w kosmosie.

KOSMICZNE MENU

Każdy kosmiczny statek załogowy wyposażony jest w pojemniki zawierające różnorodne produkty żywnościowe, odpowiednio przygotowane, przeznaczone na każdy dzień lotu. Obok tego znajduje się również zastawa stołowa, środki sanitarne, specjalny podgrzewacz oraz woreczki i pudełka na resztki żywności i opakowania. Norma kaloryczna na każdy dzień lotu kosmonauty sięga 3 tys. kalorii. Przewidziane są zwykle trzy posiłki co 5–6 godzin. Zapewnia to maksymalne przyswojenie pokarmu.

Specjaliści przygotowujący kosmiczne menu, ogromną uwagę zwracają na masę i objętość produktów. Warto wiedzieć, że wyniesienie na orbitę okołoziemską 10 gramów wymaga zużycia ok. 60 gramów materiałów pędnych. Aby zmniejszyć masę poszczególnych dań, specjaliści stosują specjalne metody suszenia, które pozwalają zachować nie zmieniony wygląd zewnętrzny, kolor i smak.

Jednym z trudniejszych problemów, które wypadło w tej dziedzinie rozwiązać, były sprawy opakowania. Musiało być lekkie a przy tym miało odpowiadać wielu szczególnym warunkom – umożliwiając długoterminowe przechowywanie potraw w temperaturze 20–25° powyżej zera, i to w warunkach nieważkości.

KOSMICZNA MODA

Mimo iż ciśnienie na lecącym statku kosmicznym, jest równe ziemskiemu kosmonauci ubrani są w specjalne skafandry. Dlaczego? Otóż na astronautę lecącego w rakiecie kosmicznej działają różnorodne ujemne czynniki. Oto np. w czasie startu i lądowania na kosmonautów oddziałują ogromne przeciążenia. Tym etapom lotu towarzyszy zwykle duża wibracja i hałas. Dodać trzeba jeszcze niebezpieczeństwo promieniowań. Skafander musi też zapewniać doskonałe warunki kosmonaucie, a więc musi odprowadzać nadmiar ciepła, wydzielanego przez człowieka, pełnić funkcję izolacyjną, zapewnić hermetyczność, ułatwić znoszenie ujemnych skutków przeciążeń. Musi także zapewnić ciepło, chronić przed nadmiarem wilgoci i różnymi innymi czynnikami.

Kostium kosmonauty, łącznie z bielizną, ma masę ok. 10–12 kg. Przy tej masie musi odpowiadać takim warunkom, jak: zapewnienie całkowitej swobody ruchów kosmonautów, możliwość wykonywania różnych czynności z samodzielnym wkładaniem tego kostiumu włącznie oraz dokonywaniem bez pomocy kogokolwiek ewentualnej wymiany części tego kostiumu. I wreszcie ostatni, niezwykle ważny warunek: kostium kosmonauty musi być absolutnie odporny na ogień.

NOWOŚCI KOSMICZNE

Wraz z idącym naprzód postępem stacje kosmiczne z roku na rok są coraz bardziej unowocześnione. Podam kilka przykładów doskonalenia urządzeń na stacjach. A więc: unowocześniono przede wszystkim system orientacji stacji. Zapewnia on zbliżenie aparatów, korektę orbity, orientację według gwiazd i horyzontu, jest bardziej dokładny niż poprzednie i bardziej ekonomiczny.

Unowocześniono system zasilania w energię. Baterie słoneczne (ich płaty są obecnie ruchome) obracają się, specjalne urządzenia automatyczne naprowadzają je ku słońcu. Płaty baterii są poza tym umieszczone nieco inaczej – dwa poziomo, jeden pionowo. Maksymalna moc systemu zasilania wynosi ok. 4 kilowatów. Z nowości warto wymienić też przypominające wiadra kontenery z lekkiego metalu na odpadki i opakowania. Wyrzuca się je przez specjalne śluzy. Spalają się następnie po wpadnięciu w atmosferę Ziemi.

Inną nowością, która ma na celu walkę z nieważkością jest wieloergometr – specjalne urządzenie do fizycznego treningu kosmonautów przypominające rower. Jego wysokość: ok. 30 cm. Zamiast siodełka posiada głęboki fotel, umożliwiający pozycję półleżącą. Obroty pedałów wspomaga niewielki silnik regulowany przez samego kosmonautę.

I jeszcze jedno: czibis, cudowne spodnie w kształcie harmonijki. Pomagają człowiekowi walczyć z nieważkością. Jak wiadomo – na Ziemi serce pracuje głównie nad tym aby zasilić mózg w krew, która w dół płynie za pomocą siły ciężkości. W nieważkości sprawa się dość komplikuje. Dolne części ciała są niedokrwione. I właśnie czibis, owe spodnie wyposażone w kompresor, przyczyniając się do obniżenia ciśnienia w dolnej części ciała, polepszają obieg krwi.

Kosmonautom mimo tych trudności nie brakuje jednak poczucia humoru. Oto przy wejściu do stacji „Salut 4" widniał napis „Wchodząc do domu, wytrzyj nogi". Niech ktoś spróbuje jednak wytrzeć nogi w stanie nieważkości.

Andrzej Prażmo

Konstrukcja skafandrów pozwala także na opuszczenie statku i wyjście w otwartą przestrzeń kosmiczną

TRZECI KSIĘŻYC NEPTUNA?

Przez ostatnie lata mnożyły się wiadomości o Jowiszu i Saturnie, o ich nowych księżycach i zagadkowym pierścieniu Saturna. Jako, że odkrycia były niemal „lawinowe" toteż doniesienia te nie budziły większych wrażeń.

Zapewne wielu miłośników astronomii zainteresuje wiadomość o odkryciu trzeciego księżyca Neptuna (?). Został on prowizorycznie oznaczony kryptonimem: 1981 N 1. Odkryto go w wyniku obserwacji bliskiego przejścia Neptuna koło słabej gwiazdy Wężownika. Było to 24 maja 1981 r. Zjawisko obserwowali astronomowie amerykańscy na dwóch stacjach oddalonych od siebie o około 5 km.

Pomiarów fotoelektrycznych za pomocą 1,5 m reflektora Oserwatorium Catalina dokonali H.J. Reitsema i W.B. Hunnard, a analogiczne pomiary 1,0 m reflektorem obserwatorium na Mount Lemmon przeprowadzili L.A. Lebofsky i D. Tholen.

Na obu stacjach stwierdzano zakrycie trwające ok. 8 sek., które – zdaniem obserwatorów – wywołane było przez nie znany dotąd księżyc Neptuna. Ma on mieć co najmniej 180 km średnicy i obiegać planetę w odległości około trzech jej promieni od środka masy układu (o ile jego orbita leży w płaszczyźnie równika planety).

Ponieważ musi on mieć jasność mniejszą od 20 wielkości gwiazdowej i w dodatku krąży blisko planety, trudno go będzie dostrzec bezpośrednio. Istnienie 3 księżyca Neptuna może być potwierdzone tylko na podstawie badań przeprowadzonych za pomocą sond kosmicznych. O ile obserwacje zostaną potwierdzone, to byłby to najmniejszy i najbliższy spośród znanych księżyców Neptuna.

Adam Jakubów
czł. PTMA

PS. Wiadomości zaczerpnąłem z nr. 2 „Uranii" z lutego 1982 r.

ten zmarznięty mężczyzna, nie mam już siły, było mi wszystko jedno. – W porządku. Nie ma o czym mówić.

– To nie znaczy, że chcę przepraszać. Ale przecież i ty możesz zrozumieć...

– Rozumiem.

– Zresztą – Piotr leciutko przekrzywił głowę na ramię – niech będzie, przepraszam.

– Nie ma o czym mówić.

Piotr odsapnął. Słyszał, że mu przytakuję, i to mu wystarczyło. Nie wiedział, że marznę. Jak ten mężczyzna, który zastygł przed Szarooką i martwym głosem mówił, o cieple.

– To wszystko minie – mruknął Piort. – Zobaczysz. Tylko tak się poplątało. Ale wszystko minie.

– Na pewno.

Odsunęłam się od niego i zaczęłam wracać do swoich, a Piotr odruchowo poszedł za mną, i jednocześnie Róża zaczął odchodzić. Stanęłam przy Szarookiej i Rybaku, naprzeciw mężczyzny, który marzył o cieple, Piotr znalazł się koło mnie, a Róża utkwił o parę metrów dalej, jakby musiał utrzymywać stały, spory dystans między sobą a Piotrem.

– Po prostu się bałem o ojca – zaszemrał Piotr.

– Oczywiście – przytaknęłam.

– A o czym on rozmawiał z twoim ojcem? – zaszeptał szybko jakby uznał, że załatwił się już z przeprosinami czy wyjaśnieniami i mógł wreszcie przystąpić do rzeczy.

– Nie widziałam ich.

– Aha – włożył w westchnienie tyle rozczarowania, że musiałam się uśmiechnąć.

– On to mógł zrobić – podjął mężczyzna, który pragnął się ogrzać. – On to mógł zrobić, gdyby ktoś chciał mu przeszkadzać.

– W czym? – spytał Rybak.

– Och, we wszystkim. On ma charakter.

– O kim mówimy? – spytałam.

– O jednym takim – wyjaśniła Szarooka. – Sierota, i ten pan go wziął do siebie. Niezupełnie normalny.

– Normalny – zaprzeczył mężczyzna. – Tylko chce żyć po swojemu. Ja mu nie przeszkadzałem, ale inni chcieli go zmienić. Leczyć? Uczyć. On się nie nadaje do szkół.

Po raz pierwszy wykonał jakiś nowy gest. Teraz wzruszył ramionami. Czoło przecinały już trzy, zlewające się ze sobą smugi.

– Ubrudził się pan – powiedziałam.

Dotknął ręką czoła, popatrzył na rękę i zastygł, jakby musiał się przez dłuższą chwilę zastanowić, co należy zrobić i czy warto. Potem nieskończenie długo grzebał w kieszeniach, wyciągnął chusteczkę, na której też były ślady popiołu, i zaczął się metodycznie wycierać.

– Nikomu nie przeszkadzał, ale ludzie już tacy są. Jak nie chce mówić, to go zmuszają. Jak lubi patrzeć, to go pędzą. Nikomu nie przeszkadza. Ale jemu zawsze przeszkadzają. Ludzie! – podkreślił i choć ledwie podniósł głos, zabrzmiało to jak okrzyk pogardy.

– Pan myśli, że on tu był? Pana wychowanek? – spytał Rybak. Ożywił się. – Podobno – rzucił – nie było żadnych śladów.

Na pewno wiedział to od milicjanta.

– A ja nie wiem – czarne smugi na czole mężczyzny rozjaśniły się po manipulacjach chusteczką i rozpełzły na całą twarz. – Nie wiem. Ale mógł być. Na noc nie wrócił.

– Może tylko przestraszył się ognia?

– Może. Co tu zgadywać – wolną od chusteczki ręką mężczyzna sięgnął do czoła, by je przetrzeć, i z namysłem spojrzał na ściśnięty w niej kapelusz. Włożył go, naciągnął głęboko na oczy. I jakby zakrył nie tylko głowę, ale całego siebie, dodał głosem niewyraźnym i stłumionym: – Ale on zawsze wracał. I wczoraj w ciągu dnia przychodził do domu. Brał jedzenie. Widziałem. A potem kamień w wodę.

– Trzeba go szukać.

– Szukam – potwierdził mężczyzna. – Stanąłem tam – pokazał środek popiołów – i myślałem, dokąd to on mógł pójść. Jest jeszcze jedno miejsce. Ma taki schowek. Ludzie mu przeszkadzają, to się kryje. Tu się schował. I ma jeszcze jedno miejsce. Mnie pokazał – dodał z niejasnym odcieniem dumy. – Bo ja mu nie przeszkadzam.

Rozgadał się nagle, ale bez ożywienia. Słowa płynęły równo, a jednak twarz mężczyzny nie zmieniała wyrazu, patrzył gdzieś poza nas, jeśli w ogóle patrzył, i tylko wargi poruszały się, także nieznacznie.

Cdn.

Nerwosolka profesorka Antresola

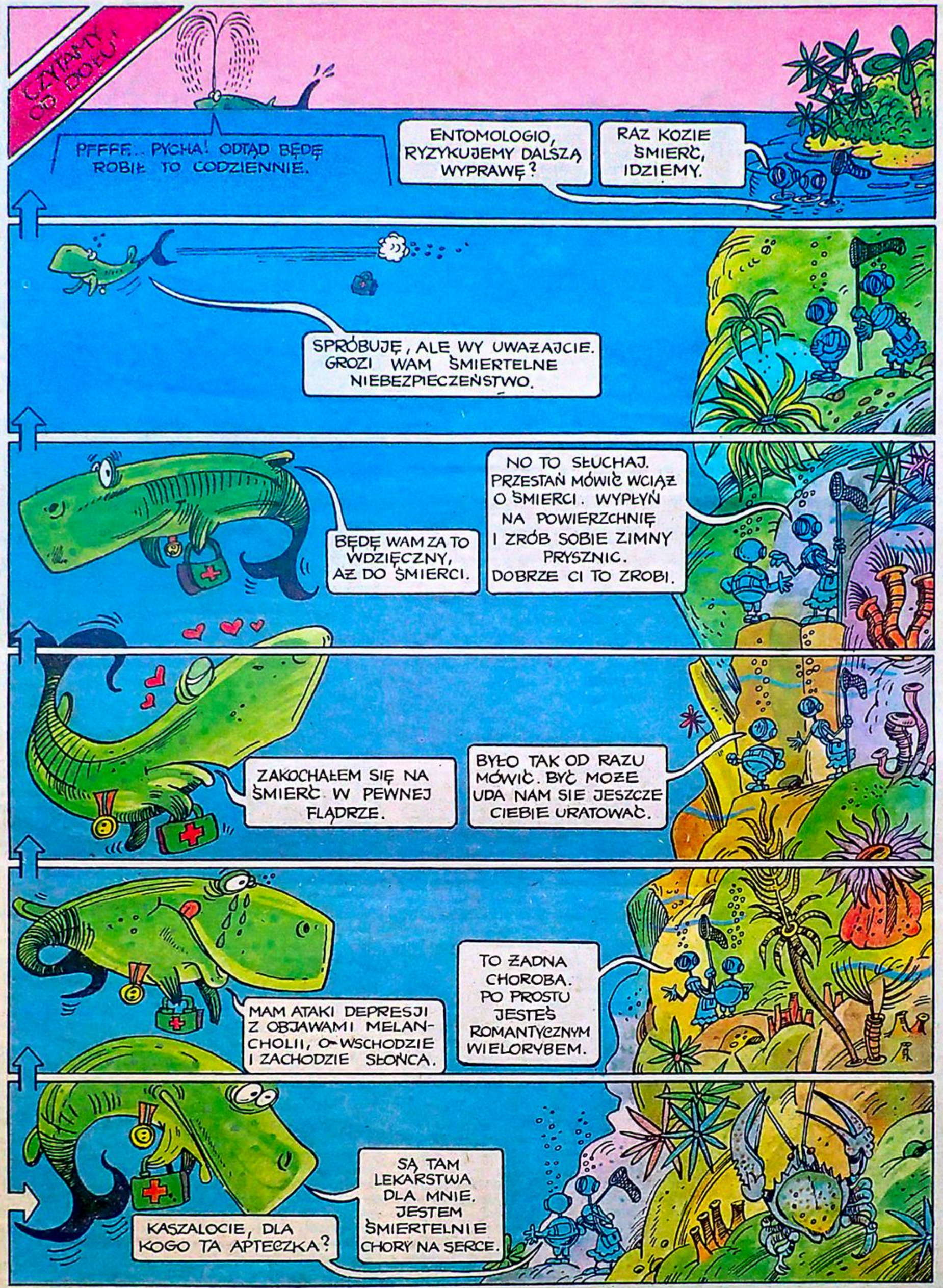

6

tekst & rysunki T. BARANOWSKI

ŚWIAT MŁODYCH

Nr indeksu 35046

PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa
ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).
UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.
REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grazyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.), Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji)
TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52.
Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne
Inna Bójska
Opracowanie techniczne
Bogumiła Szczupakowska
Korekta
Bianka Abratowska-Lisowska
Nakł. 500 292
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego
Nr zam. 4511/G. 2-56

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

OJCIEC MIAŁ „poważną rozmowę" z Wojtkiem. Po niej Wojtek postanowił, że się poprawi i weźmie solidnie za szkolne obowiązki. Podrzucając w górę złotówkę powiedział sobie: „Jeśli będzie reszka – pójdę na pływalnię, jeśli orzeł – pójdę do kina, a jeśli stanie na kant – odrobię zadania z matematyki."

*

– GUCIU, DLACZEGO trzymasz mokrą chusteczkę przy ścianie?

– Bo lekarz kazał mi robić mokre okłady w miejscu, gdzie się uderzyłem...

LECH BORSKI 52

talizman z błękitnego kraju

Rybak chwycił ją w pasie i przesunął, nie po to, by zrobić sobie przejście, był to odruchowy gest, jakby chciał ją wziąć na ręce czy podrzucić, i szybko z tego zrezygnował, zawstydził się, prawie odskoczył i powiedział, że moglibyśmy się przejść, deszcz niemal ustał i niebo się przejaśnia, już widać kawałki błękitu.

Wielkiego wyboru nie mieliśmy, więc znów znaleźliśmy się na pogorzelisku, bez Smarkula, wołałam go bezskutecznie – milicjanta nie było, ludzie pochylali się nad czarnymi resztkami szopy, gmerali w nich i na pewno zacierali resztę śladów, jeśli w ogóle jakieś ślady były.

Pośrodku popiołów, w czarnych kaloszach, które oblepiła połyskliwa, równie ciemna maź, stał nieruchomo może pięćdziesięcioletni, niski mężczyzna, w kapeluszu głęboko naciągniętym na czoło. Szarooka powitała go głośno, Róża też krzyknął jakieś pozdrowienie, mężczyzna zdjął kapelusz, otarł czoło pozostawiając na nim ciemną smugę i ruszył ku nam, wysoko unosząc nogi. Twarz miał szarą, a półprzymknięte oczy potęgowały wrażenie, że jest śmiertelnie zmęczony.

– Martwi się pan? – spytała Szarooka.

– Desek szkoda – powiedział niskim, też szarym głosem. – Myślałem na zimę to rozebrać, opał by był, a może i coś by się skleciło.

– Dadzą odszkodowanie.

– Nie ubezpieczałem – mruknął bez wielkiego zmartwienia w głosie. – Ruina.

– Ale zawsze szkoda.

– Szkoda. Ogrzałbym się. Zawsze marznę. Zawsze mi zimno.

Róża roześmiał się.

– To dlatego pan w popioły wchodzi?

– To przecież moje. Najpierw była chałupa, potem szopa. W tamtym miejscu – pokazał ręką wzdłuż swoich śladów wybitych w czerni spalenizny – się urodziłem. Dokładnie w tamtym miejscu. Ciepło jest na własnym.

– I jak pan myśli? Kto to zrobił?

Mężczyzna medytował trochę, błysnął oczyma na Rybaka i na mnie, wreszcie powiedział:

– To jasne. Któżby, jak nie on.

Z działki za nami zabrzmiało wątłe wołanie. Obejrzałam się. Piotr szedł wzdłuż siatki, podskakiwał, jakby próbując, czy zdoła przedostać się górą i skrócić sobie drogę, wreszcie pomknął do furtki.

– Może to nie on – zawołała Szarooka. – Dlaczego miałby to zrobić?

– Dlaczego? A dlaczego nie?

Piotr biegł ku nam, wpadł na pole, na którym staliśmy, zwolnił i zaczął przybliżać się trochę bokiem, niepewnie.

– Lubił to miejsce – dodał mężczyzna, któremu było zimno. Jeszcze raz dotknął czoła i zostawił na nim kolejną smugę. Nawet ta smuga wydawała się szybko szarzeć. Jego oczy też były szare i matowe, a jednak kiedy oglądał nas, tliło się w nich nikłe, mdłe światełko, jak ostatnia iskra. – Wiem. Widziałem. Ale już nie mam siły go pilnować.

Piotr był już blisko. Przystanął.

– Aśka – wyszeptał.

Róża udawał, że słucha mężczyzny, ale obserwował nas uważnie. Kiedy podeszłam do Piotra, gwałtownie odwrócił głowę i zagadał do Rybaka.

– Aśka – powtórzył Piotr. – To wszystko głupio wychodzi. Ale ja...

– W porządku – powiedziałam, wydawało mi się, że ja też, jak

Dokończenie na str. 7